Nr. 13. Lwów, Niedziela dnia 26. Marca 1876 r. Rok III.

TYGODNIK

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XII.

O NASZEJ MOWIE POTOCZNEJ.

Rzecz, którą dziś omówić zamierzamy, była już niejednokrotnie, a od lat dawnych, podnoszoną i roztrząsaną w pismach krajowych. Zdaje się atoli, że nie dość zwracano uwagi na głośne nawoływania dziennikarzy, nie dość poczuwano się do winy i obowiązku systematycznego jej naprawiania, skoro skutki tak mało widoczne, a zło tak zawsze ogólne.

Mamy tu na myśli naszą mowę potoczną i haniebne, powszechne prawie, jej kaleczenie. Te słowa, bezsprzecznie gorzkie, lecz zasłużone, stosujemy przeważnie do całego młodego pokolenia; o osobach bowiem płci obojej od lat 40tu w górę przemilczamy, gdyż nie cała odpowiedzialność za to cięży na nich samych. Dość wspomnieć tylko dawniejszy, dla objawów i warunków ducha narodowego eksterminacyjny system nauczania w szkołach naszych, biedne stosunki literatury i prasy perjodycznej, pomijając już wiele, wiele innych zgubnych wpływów, które przyczyniały się do uspienia języka, a zastąpienia go każdym innym — byle nie polskim. Gdy nie było w inteligentnym ogóle wrodzonego poczucia i miłości wkorzenionej głęboko, czcią zaprawnej, dla wszystkiego co nam zostało spuścizną po wiekach złotych przeszłości naszej, gdy w dodatku nikt głośno nie zwracał uwagi na zło, a ci więksi, którzy winni byli przykładem świecić mniejszym, wstydzili się używać naszej mowy, zpychając ją z pogardą do przedpokojów i kredensów, na folwarki ekonomskie i dworki biednej braci — cóż dziwnego, że nawet nie miano świadomości grzechu, a jeżeli tu i tam miano ją, nie starano się bynajmniej poprawić z niego?... Wszak dziś jeszcze w pewnych sferach panuje (chciejmy wierzyć że wyjątkowo tylko) przekonanie karygodne, że „po polsku mówić nie sztuka,“ że dobre wykształcenie lingwistyczne zależy głównie na poprawnym akcencie paryskim!

Na takich sferach nigdy nam nie zależało, nie zależy i zależeć nie będzie, — latorośl ta zbyt daleko od pnia ojczystego odbiegłszy, pono w pasożyt już się przemieniła... Nam idzie głównie o młode pokolenie stanu średniego, i takowe wykształcać, wydoskonalać w każdej mierze, winno być zadaniem wszystkich ludzi dobrej woli, miłujących szczerze ojczyznę. Zadanie dziś łżejsze, bo warunki wiele od dawnych korzystniejsze — sposobność nadarza się wszędzie — tylko — powtarzamy — dobrej woli potrzeba, a wytrwałości mrówczej.

Możemy twierdzić śmiało, raczej powtórzyć tu twierdzenie tysiąca wielkich myślicieli, że czystość języka powinna się chować niepokalaną. Każde zboczenie nieprawidłowe, uświęcane wzwyczajeniem, kazi tę mowę srodze, a zakażenia podobne wdzierają się powoli i w język piśmienniczy. Rezultaty ztąd każdemu wiadome. Najbliższym z nich i pewnie najdotkliwszym: nieuchronny, choćby czasowy tylko, upadek literatury ojczystej. Nie zbrodnią że to przykładać świadomie rękę do takiego minowania podwalin bytu narodowego? Nie dość pracują odwieczne wrogi w postronnych ziemiach naszych nad wytępieniem mowy ojców, z pamięci i serc ludu — mamy im tu wtórować dobrowolnie, patrząc okiem obojętnem, jak młode pokolenie, choć we wszystkiem coraz szerszej nabywa wiedzy, po polsku jednak mówić nie umie?

Nie przesadzamy bynajmniej!... Przekonaliśmy się, nie dziesięć i nie sto razy, że tak uczniowie szkół wzorowych, średnich, a nawet, wielka część słuchaczów Wszechnicy, jak uczennice równorzędnych zakładów żeńskich, publicznych i prywatnych, najhaniebniej w świecie po polsku mówią. Wnoszącz z tego zdawałoby się, że czasy „lesebuch'ów i sprachzeichen'ów“ niemieckich w najlepsze kwitną, gdy tymczasem, od lat 8miu mamy przecie wszędzie wykłady polskie, Radę szkolną krajową i Towarzystwa pedagogiczne. Gdzież więc szukać powodów? Oto, że z gramatyki choćby najlepszej, z ćwiczeń stylistycznych i t. p. nikt się języka dobrze nie nauczy. To nie arytmetyka ani geometrja— w której formułka dla ucznia wszystkiem. To nie język martwy, łaciński lub grecki, który od niepamiętnych wieków o krok nie postąpił i po koniec świata nie postąpi. A i tych języków uczeń potrzebuje tyle tylko umieć i rozumieć, by tłumaczył autorów klasycznych i rozumiał ich ducha. Inna rzecz tłumaczyć, rozumieć język, a inna mówić nim poprawnie, choćby on był nawet macierzyńskim. Pierwszego nabyć można rzeczywiście tylko z dobrą gramatyką w ręku — dla drugiego ona nie wystarcza. Tu już trzeba, że się tak wyrazimy, gramatyk żyjących. A takiemi gramatykami powinni być nauczyciele, nauczycielki w klasie, rodzice, przyjaciele w domu, słowem każdy człowiek władający nim poprawnie, winien wziąć sobie za obowiązek, na każdym kroku poprawiać i ośmieszać błędy słyszane, istnie prześladować błądzących — a jedynie tą drogą możemy dojść powoli do zamierzonego celu. Spodziewać się należy z drugiej strony, że ci poprawiani wcale za wytknięte błędy gniewać się nie zechcą, nie poczytają sobie za urazę, gdy zbiegiem okoliczności zdarzy się kiedy, że młodszy wiekiem czy stanowiskiem wystąpi na chwilę w roli mentora...

Przedewszystkiem zaś zwracamy uwagę panów nauczycieli, by bez względu na przedmiot jaki wykładają, zawsze poprawiali źle mówiących po polsku, a do kilku lat postępy w poprawnem mówieniu będą widoczne.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

XIII.

Jeżeli pan Artur, bezpośredni uczestnik i naoczny świadek bitwy pod Gradowcami, tak mało wiedział o jej rezultacie i przebiegu,

cóż więcej o niej wiedzieć może historja, która przecież nie zawsze na zasadzie podań bezpośrednich uczestników i zeznań naocznych świadków się spisuje?

Pragnąc dojść historycznej relacji o tej bitwie, przewertowaliśmy wszystkie źródła a byliśmy tyle naiwni, żeśmy zaczęli od moskiewskich.

Najskrzętniejszy przegląd pism moskiewskich z owej epoki doprowadził nas tylko do przekonania, które musielibyśmy przyjąć, gdybyśmy tym źródłom bezwzględnie zaufali, że tej bitwy wcale nie było.

Gdyśmy dotarli do wspomnianego już wyżej dokumentu, którym najwyższa władza wojskowa nakazywała jenerał-gubernatorowi, żeby w obrębie gubernji powierzonej jego władzy *pod nikakim predlogom,* to jest pod żadnym pozorem, powstania nie było, zrozumieliśmy tę zagadkę. Jakże miała być bitwa, kiedy rząd jej sobie nie życzył? Dzięki tej przezorności najwyższej władzy wojskowej, armja moskiewska liczy, aż do dzisiaj, więcej o jednego kozaka, który byłby obowiązany poledz w tem starciu, jako nieodzowny ekwiwalent kilkuset poległych i tyluż rannych miateżników.

Ale i źródła polskie nie bardziej są w relacje o tem starciu obfite. Tę znowu okoliczność przypisać należy temu, że tych źródeł jest mało, i nie wszystkie dotąd spisane. Wiele z nich tuła się jeszcze po Europie i opowiada z pamięci to co widziały, a napotkać na takiego tułacza niełatwo, cały bowiem oddział Klina zwerbowanym był wówczas z okolicy, i składał się z ludzi nie bardzo pochopnych do pióra, trzeba więc koniecznie spotkać kogoś z tamtych stron, aby coś o tej bitwie usłyszeć.

Dotarliśmy aż do takiego świadka i to co o bitwie gradowieckiej wiemy, na podstawie jego opowiadania powtórzymy.

Morderczą i długą była walka, w której pan Artur został tak niegrzecznie kopytami końskiemi utraktowany. Moskale, liczniejsi znacznie, widząc, że w razie wparcia do Smotryczy, wszyscy prawie wyginąć mogą, i sądząc, że dowódca rzeczywiście to ma na celu, bronili się ze wszystkich sił. Zwycięstwo wahało się dość długo, każdy kawał ziemi zdobywany i odzyskiwany był napowrót, w końcu jednak Moskale postrzegli, że coraz więcej zyskują terytorjum, że zamiar partyzantów wepchnięcia ich do rzeki udać się nie może, że oddział powstańczy się cofa.

Cofanie to było regularne, z bardzo silnym połączone odporem, ale w każdym razie było cofaniem się, co gorsza, cofaniem się coraz szybszem, skierowanem w stronę, w której, o ile dowódcom moskiewskim topograficzna znajomość miejscowości wnosić dozwalała, nie mogli mieć dogodnego stanowiska. Było więc interesem Moskali napierać, zdawało się im niezawodnem, że tym sposobem uda im się oddziały Klina i pana Bartłomieja, których połączeniu się w pierwszych fazach walki przeszkodzić nie mogli, rozbić znów na dwie części i każdą z tych części pojedynczo pobic na głowę i rozprószyć.

Po dwugodzinnej jednak blisko rejteradzie zmieniła się nagle postać rzeczy. Powstańcom przybyła odsiecz niespodziewana przez nieprzyjaciela.

Cofnąwszy się do pewnego dosyć już odległego od miejsca pierwotnej potyczki punktu, Klin nagle zmienił taktykę z odpornej w zaczepną, a jednocześnie Moskale zostali z dwóch stron zaatakowani od tyłu.

Wówczas dopiero okazało się, że owa rejterada była tylko manewrem dowódcy, na który oddział moskiewski dał się złapać. Okazało się, że Klin zebranych ochotników nie na dwa lecz na cztery podzielił oddziały, i że wrogów wciągnął w nową zasadzkę.

Wojskowi zapytają zapewne dla czego rozdrabniał swoje siły, dla czego sam dobrowolnie się osłabiał, po co wszystko stawiał na kartę, na przypadek nieudania się manewru?

Słuszne pytanie, odpowiemy więc na nie zaraz, że Klin inaczej postąpić nie mógł, i że w ten tylko sposób mógł wszystkich swoich ludzi należycie spożytkować.

Na wieść o pierwszej porażce Moskali w Gradowcach i o wybuchu powstania, korzystając z kilkodniowej swobody, zbiegło się pod chorągiew powstańczego dowódcy tylu ludzi, że choć Stanisław bardzo usilnie pracował nad przysposobieniem broni, znaczna ich część jednakże nie mogła być uzbrojoną należycie. Poprowadzić tę część odrazu do bitwy, byłoby to pomnożyć siły oddziału tylko liczebnie, ale nie wzmocnić go wcale. Owszem było do przewidzenia, że w takim razie, na przypadek chwilowej choćby tylko przewagi nieprzyjaciela, owi niedostatecznie uzbrojeni staną się przyczyną zamięszania i popłochu, który spowodować może zwichnięcie ułożonego planu i porażkę.

Podzielił ich zatem dowódca na dwa jeszcze oddziały, rozlokował odpowiednio, dając jednym za dowódcę Stanisława, drugim Franka Harasia, i dopiero powyżej opisanym manewrem wprowadził Moskali między nich.

Była to więc zbierana i źle uzbrojona drużyna, zostająca pod kierunkiem ludzi, z których jeden z książki tylko znał wojskowość, a drugi rozumiał doskonale służbę żołnierską, lecz nie miał pojęcia o oficerskiej. Ale za to były to siły świeże, uderzające na zmęczonych i zaprzątniętych już ciągle toczącą się walką z oddziałem dobrze uzbrojonym i wyćwiczonym. Była to odsiecz, której samo ukazanie się zasiać musiało demoralizację w szeregach moskiewskich.

A w szeregach tych ludzi nowozaciężnych, z których nie wszyscy nawet kosami byli zbrojni, udanie się manewru Klina musiało podnieść zapał do najwyższej potęgi. Dowódca sprowadzał im silniejszego nieprzyjaciela w zasadzkę, wiódł go jakby na pasku do naprzód przewidzianego punktu, znać było że na nim grał jak chciał, mającym więc odbyć pierwszy chrzest ogniowy ochotnikom musiał swoją wyższością nad nieprzyjacielem zaimponować. Wydawał im się znakomitością, półbogiem, uwierzyli że pod jego komendą zwyciężyć tylko mogą, więc zwyciężyć musieli.

Nie upłynął kwadrans od przyłączenia się do walki oddziałów Stanisława i Franka, a już to zwycięstwo było niewątpliwe, już było nawet odniesione, bo już oddział moskiewski jako oddział nie istniał, istniały tylko pojedyncze żołnierzy gromadki, nie złączone wspólnym węzłem w jednę całość, której spójnia jest największą potęgą. Gromadki te broniły się lub uciekały, rzucały broń i poddawały, albo rozpacznie usiłowały się przedrzeć przez oddziały partyzanckie i utorować sobie drogę odwrotu, słowem działały jak która mogła i umiała. Bitwa z ogólnej zamieniła się w epizodyczną, działy się bohaterstwa, których nie widział ten kto był o dwadzieścia kroków — krew płynęła.

W godzinę już wszystko było skończone. Zwycięstwo partyzantów było świetne, stanowcze, niezaprzeczalne, los jednak chciał, żeby było okupionem zbyt drogo.

Strata kilkunastu poległych i kilkudziesięciu ciężej lub mocniej ranionych równoważyłaby się jeszcze z ciężką klęską zadaną nieprzyjacielowi, tembardziej że to zwycięstwo przynosiło oddziałowi powstańczemu broń, której mu brakowało i podnosiło ducha tak w ochotnikach jak w masach ludu, równoważyłaby się niezawodnie, gdyby pomiędzy rannymi nie znajdował się sam dowódca.

Klin, który z całego przebiegu walki wyszedł bez skaleczenia i stłuczenia, już prawie w samym końcu bitwy, pchnięty został piką kozacką w lewy bok nieco poniżej ramienia.

Lekceważył zrazu tę ranę, chociaż bolesną, i nieopatrzony walczył dalej, nie zsiadając z konia. Dopiero po bitwie, gdy oddział na dany znak zgromadził się koło niego, i gdy chciał podniesionym głosem przemówić słów kilka do swoich towarzyszów broni, winszując im zwycięstwa i dziękując za nie, siły go opuściły nagle.

Otworzył usta i chciał mówić, ale krew w nie nabiegła i głos stłumiła.

I nim upojona zwycięstwem rzesza ochotników spostrzegła i zrozumiała co się z nim dzieje, on zachwiał się i omdlały spadł z konia.

Rozweselone tryumfem twarze partyzantów, spoważniały nagle i zesztywniały trwogą.

Pan Bartłomiej Zahajpolski pierwszy zeskoczył z siodła i pospieszył do omdlałego, w ślad za nim rzucili się inni.

— Naczelniku! panie bratku! co wam jest?... — zawołał szaraczek wstrząsając jego ramieniem.

Ale daremnie. Klin nie dawał znaku życia.

Rozpięto mundur na piersi i wtedy dopiero spostrzeżono, że cała była krwią zbroczona.

Służba lekarska nie najlepiej była uorganizowaną w tym partyzanckim oddziale, równie jak w innych w czasie ostatniego powstania. Moskale dopiero później wzięli na filantropję, a raczej zaczęli paradować nią przed Europą; wówczas, w powstaniu, lekarza miateżników uważali także i traktowali jak buntowszczyka, kto więc chciał nieść pomoc ranionym, musiał być w czasie walki szeregowcem, a po jej odbyciu dopiero, brać się do szarpi i bandaży, i sta-

wać się doktorem, o ile jaka kula albo jaki pałasz, jego samego nie uczyniły wołającym o pomoc chirurgiczną pacjentem. Że w takim stanie rzeczy nikt się bardzo na lekarza polowego nie spieszył, rzecz naturalna, a choć i był gdzie jaki medyk, to zwykle w czasie bitwy walczył po łacinie, i gdy przyszło do opatrywania ranionych, sam pierwszy potrzebował opatrunku.

W oddziale Klina służbę chirurgiczną miał pełnić pan Mateusz, jedyny na całe Gradowce golibroda, który wstępując do oddziału nie chciał brać nawet z sobą przyrządów operacyjnych, twierdząc, że idzie bić się, a nie bańki stawiać, i tylko na wyraźny rozkaz dowódcy zgodził się z partyzanckim połączyć także i lekarski charakter.

Był to człowiek już szpakowaty, wdowiec, bezdzietny, wesołego, jowialnego prawie usposobienia, człowiek którego niktby nie był posądził, że i w nim także drga jakaś żyłka żołnierska, a trzeba było bitwy gradowieckiej dopiero, żeby się okazało, iż żyłka ta w nim była jedną z najsilniejszych tętnic.

W czasie bitwy bił się jak umiał, strzelał, kłuł i siekał w prawo i w lewo, a tak jakoś szczęśliwie, że mu żaden z Moskali należycie i trafnie nie odstrzelił, nie odkłuł i nie odsieknął. Po bitwie zabrał się do opatrywania tych, którzy byli pod ręką a potrzebowali pomocy. Opatrując śmiał się, żartował i dodawał ducha pacjentom dobrym humorem.

Kilku już opatrzył, gdy go powołano do dowódcy.

— Dowódca ranny — zawołał, tracąc nagle humor i bledniejąc—gdzie?... w co?... czy ciężko?...

— Nie wiemy... w piersi!...

Pospieszył. Zastał Klina bezwładnym i sztywniejącym.

— Źle! — rzekł półgłosem — źle!

— Czy w serce? — zapytał jeden z otaczających.

— Nie... mam nareszcie... tutaj jest rana...

— Trzeba wyjąć kulę...

— To nie od kuli... rana głęboka... i ten człowiek mógł tak długo trzymać się z nią na koniu!... nie pojmuję...

— Jest niebezpieczeństwo?...

— Fatalne!... płuca zdają się dotknięte, krwi upłynęło za wiele...

Uroczysta nastała cisza,

Po długiej chwili namysłu pan Mateusz zabrał się w milczeniu do tamowania krwi i obwiązywania rany. Chciał następnie cucić pacjenta, ale usiłowania jego były daremne.

— Trzeba przenieść omdlałego do pierwszego lepszego domu.

Najbliższym domem była karczma Mortka w Rozdrożu, tam więc zamierzano ponieść rannego.

Z burek partyzanckich urządzono naprędce nosze, złożono na nich bezwładne ciało dowodcy i kondukt żałobny w milczeniu wyruszył w drogę.

Tuż przy chorym postępował pan Mateusz, wpatrywał się w niego i kiwał głową.

Nikt go nie śmiał pytać, co myślał.

Karczma w Rozdrożu stała pustką i otworem. Z chwilą zbliżającej się walki stary Mortko z rodziną wyniósł się do lasu.

Oprócz naczelnika przyniesiono tam kilku jeszcze ciężko ranionych. Karczma zamieniła się w szpital. i w tem samem miejscu gdzie niegdyś tak wesołe chwile przepędzał czastny prystaw Iwan Iwanowicz, odzywały się teraz jęki rannych i chrapanie umierających.

Ratunek naczelnika był bardzo trudny. Pan Mateusz tracił głowę.

— Doktora trzeba, koniecznie doktora, ja za nic nie ręczę, ja nic nie umiem... — mówił do pana Bartłomieja.

— Czy siak czy tak, panie bratku rób co możesz... ja lekarza nie dobędę z pod ziemi.

Usiłowaniom pana Mateusza powiodło się po części. Po upływie godziny może, ranny dał znak życia.

Otworzył oczy, jakby się budził z ciężkiego snu. Podniósł rękę do czoła, jakby dla zebrania wspomnień.

Otaczający oddech tamowali w piersiach.

— Więc Moskale?... — zapytał słabym głosem.

— Pobici i rozproszeni...

— Niech żyje Polska! — zawołał silniej ranny.

— Na miłość boską! cicho!... — przestrzegł chorego zaimprowizowany lekarz obozowy — zabijesz się naczelniku!

— Ciężkom ranny?

— Nie bardzo...

— Prędko będzie można... na konia...

— Zapewne... wkrótce...

— Nie tajcie nic... ja powinienem wiedzieć...

— Za kilka...

— Dni?

— Może tygodni...

— Dziękuję.

Klin ścisnął rękę pana Mateusza, potem obecnym dał znak do odejścia, tylko pana Bartłomieja gestem zatrzymał przy sobie.

Gdy ich pozostawiono samych w alkierzu, rzekł do szaraczka:

— Słyszałeś kolego?

— Słyszałem... siak czy tak panie bratku, jeszcze to nic... wyliżesz się z tego...

— Jeśli nie umrę — uśmiechnął się łagodnie — w każdym razie na kilka tygodni najmniej... jestem do niczego...

— Oh! co znowu! będziesz nam służył.

— Czem?

— Radą.

— Przez godzinę jeszcze... i właśnie chcę...

Zakaszlał... napływ krwi do ust odebrał mu chwilowo mowę.

Pan Bartłomiej przywołał pana Mateusza, który zakazał rozmawiać z chorym. Gdy jednak kaszel ustał, Klin zażądał stanowczo aby doń sprowadzono pana Bartłomieja.

— Muszę mówić — rzekł do niego gdy Zahajpolski zaklinał go żeby się oszczędzał i nie wysilał — muszę choćbym miał skonać...

— Więc w trzech słowach... ja słucham...

— Co myślisz dalej?..,

— Organizować się... okopać... bronić... gromadzić siły... mamy Gradowce, mamy okolicę...

Chory podniósł rękę i machnął nią lekko na znak, że się to wszystko na nic nie zdało.

— Co począć? — zapytał pan Bartłomiej.

— Uciekać... jedyna rada uciekać...

Pan Bartłomiej spojrzał na niego zdziwiony i machinalnie sięgnął ręką po jego rękę.

Znów uśmiech się zabłąkał na wybladłej twarzy rannego.

— Sądzisz, że plotę w gorączce?...

— Bo i po co uciekać, panie bratku... nikt nie goni i nie zaczepia... jak przyjdą, czas będzie.

— Jak przyjdą to już czasu nie będzie, nie zostawać nigdzie dłużej... ciągle w ruchu... zjawiać się jak z pod ziemi gdzie trzeba... jeżeli oddział za wielki... za ciężki do szybkich ruchów... to go dzielić na dwa lub trzy... jeśli za mały, łączyć z innemi... czy po zwycięstwie czy po porażce znikać... to jedyna taktyka...

— I dopókiż tego?...

— Bóg wie

— Ależ to szaleństwo!

— Może.

— Czy tym sposobem można w końcu zwyciężyć?...

— Byleby wytrwać aż do końca... ale to długo!... więc ci którzy głównie kierują ruchem, myśleć muszą i myślą o wywalczeniu gdzieś, w odpowiednim punkcie, kawałka terytorjum... tu na Podolu byłoby to niemożebne... Gdyby się to udało, partyzantka zyskałaby silniejszy punkt oparcia... ale...

Nie miał sił wykładać panu Bartłomiejowi dalszych swoich poglądów na teorję prowadzenia wojny partyzanckiej, dawanie tej instrukcji wyczerpywało resztę sił jego. Gestem wskazał, że mówić nie może tyle ileby chciał.

— Więc daj rozkazy, naczelniku.

— Zwołać w tej chwili oddział... podzielić go na piątki albo szóstki... wyznaczyć punkt zborny o kilka mil... masz mapę przy sobie?...

— Mam — odpowiedział pan Bartłomiej, podając ją choremu.

Klin wskazał miejsce.

— Tutaj... Rannych porozmieszczać gdzie się da... Oddział cały natychmiast zniknąć ztąd musi ..

— Cóż z tobą zrobić, naczelniku?

— Mnie tu zostawić... czuję, żebym drogi nie przeżył.

— Któż czuwać będzie?

— Bóg!

W słowie tem był akcent silnej i głębokiej wiary, wobec której pan Bartłomiej nie nalegał o pozostawienie dozoru przy chorym.

— W imieniu Rządu narodowego — rzekł słabym głosem dowódca — mianuję cię naczelnikiem mego oddziału aż do chwili w której będziesz go mógł oddać... pod dowództwo kogoś wprost przez Rząd mianowanego... Po rozpuszczeniu oddziału... przed

zebraniem go na nowo... złożysz raport Rządowi... drogą... wiadomą... Bądź zdrów!...

Uściskiem rąk pożegnali się dwaj dowódcy i pan Bartłomiej poszedł do swoich ludzi, ażeby ich zgromadzić i oznajmić im wolę naczelnika.

Wysłuchali jej w milczeniu i bez żadnej oznaki niezadowolenia, chociaż im się nie bardzo podobała.

Ci biedacy, którzy świeżo krwawy chrzest wojenny odbyli, sądzili, że się stają zawiązkiem jakiejś armji, która może zostać wkrótce groźną dla nieprzyjaciela potęgą, tymczasem przekonywali się i dowiadywali, że o tem ani marzyć nie mogą, że ich oczekują niebezpieczeństwa tem przykrzejsze że znoszone na pojedynkę, że oprócz odwagi i poświęcenia żołnierzy potrzebną im będzie przebiegłość i ostrożność kontrabandzistów, że z życiem obozowem poplątane będzie życie błędne, awanturnicze, tułaczka po lasach i manowcach, przekradanie się po nocy bocznemi drożynami i ukrywanie się podczas dnia w wieśniaczych chatach, szlacheckich dworkach, gdziebądź, gdzie można, gdzie się da.

Kilkoma słowy objaśnił ich pan Bartłomiej, że tak być musi. Potem Stanisław, jako płatnik oddziału, zajął się zaopatrzeniem w pieniądze odchodzących, i w parę godzin później oddział partyzantów, który pod Gradowcami odniósł zwycięstwo, przestał już istnieć *de facto*. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.
Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

(Dokończenie).

CZĘŚĆ III.

Pochód do Moskwy w r. 1812.

Dnia 8go września staliśmy jeszcze na placu bitwy przez cztery godziny, nim ruszyliśmy dalej. Wtedy widziałem całe pobojowisko zasłane trupami, rannych czołgających się od kilku dni, którzy zeznali, że żywili się surowem mięsem z koni, trzeba bowiem wiedzieć, że batalja zaczęła się jeszcze przed pięciu dniami, a dopiero nasz korpus ją zakończył.

Nieprzyjaciel wciąż się cofał. Nareszcie dnia 14. września stanęliśmy pod murami Moskwy. Uszykowawszy się o pół mili do boju, spodziewaliśmy się bądź bitwy, bądź deputacji z miasta, jak pospolicie dziać się zwykło. Patrjotyzm należy szanować nawet w nieprzyjacielu; wzgardził on majątkiem, wolał go wydać nieprzyjacielowi, niż wchodzić z nim w jakiekolwiek układy. Jenerał Mileradowicz komenderujący naczelnie tym korpusem, za którym myśmy postępowali, przysłał tylko oficera do nas z zawiadomieniem, że przechodząc przez miasto strzelać nie będzie, przyczem prosił o wzajemność, jak niemniej, aby domy rabunkowi nie podpadły. Taka więc tylko umowa stanęła.

Ruszył król Neapolitański z korpusem liczącym 30.000 jazdy. Czoło kolumny formowały polskie pułki; radość na twarzach żołnierzy była powszechna. Duch energji rossyjskiej okazał się gdyśmy weszli na przedmieście; wszystkie okna i domy były pozamykane, nigdzie nie widziałeś żyjącej istoty. Maszerowaliśmy plutonami tak, że zajmowaliśmy całe ulice i wszędzie panowało ponure milczenie. W tem wchodzimy na szeroki plac, gdzie był dom poprawy. Tu wypada tłuszcza pijana wypuszczonych z więzienia zbrodniarzy, i wita nas krzykiem przeraźliwym, co niby radość miało oznaczać. Dalej koło arsenału, tłum pijanego pospólstwa dał ognia do nas ze strzelb, rozdawanych im przez rząd. Wystrzał z jednej armatki uspokoił jednak ich zapał, a gdy broń rzucili, pozwolono im się rozejść.

Postępowaliśmy tak za nieprzyjacielem, że w końcu widzieliśmy go o kroków kilkanaście przed sobą. Tu muszę przytoczyć anegdotę jedną. Król neapolitański, który ze świtą swą zawsze na przodzie maszerował, tak się zbliżył do kozaków, że obok niego kilku jechało. W tem przypada oficer kozacki. „Najjaśniejszy panie — zawołał — nie zbliżaj się tak bardzo, bo narażasz się na niebezpieczeństwo. Mój oddział jest trochę napity, więc nie ręczę, czy kto przypadkiem lub umyślnie nie zechce do ciebie strzelić!“ — „Dziękuję za przestrogę — odrzekł król — ale zkąd pan wiesz, kim jestem?“ — „Któżby cię nie znał? — odparł oficer kozacki — przecież cię zawsze na przodzie między flankierami naszymi widzimy.“ Pochlebne i sprawiedliwe to wyznanie tak się podobało królowi, że obrócił się do otaczających go adjutantów, żądając zegarka, który ofiarował oficerowi kozackiemu mówiąc: „Proszę przyjąć ten upominek od króla neapolitańskiego.“

Cztery godziny maszerowaliśmy przez miasto. To może dać wyobrażenie o jego rozciągłości. Wyszliśmy już nad wieczorem i o milę od miasta rozłożyliśmy obóz. W nocy pokazał się pożar. Ten, jakeśmy się dowiedzieli, był dziełem samych mieszkańców, złożonych z rozpasanego pospólstwa. Widok ognia smutne na nas wszystkich zrobił wrażenie. Wiadomo jaki był potem koniec tej ogromnej stolicy. Rabunek i zupełne jego zniszczenie, popioły i gruzy. Miasto mogące przynajmniej przez sześć miesięcy armję naszą wyżywić, zniknęło bez śladu, i odtąd głód tak nam się uczuć dawał, że wyżsi nawet oficerowie często mięsem końskiem żyli, a zupą naszą była mąka najgorsza, rozpuszczona w gorącej wodzie z solą. W takim więc niedostatku szliśmy codziennie. Nieprzyjaciel uchodząc przed nami, wszystkie wsie palił, a jeźli jakie oddziały posełaliśmy na bok za żywnością, to najczęściej przez kozaków były zabierane. Tu zaczęła się szerzyć ta powszechna zaraza w armji naszej, którą nazywają maroderami. Każdy regiment trzecią część swoich ludzi tracił, a wstrzymać tego nikt nie był w stanie, bo każdy się tłumaczył, że idzie za żywnością. Z takiego to rodzaju ludzi składała się największa liczba niewolników naszych, gdyż w boju traciliśmy ich bardzo mało. Nigdzie już nie mieliśmy akcji znaczniejszej, aż pod Woronowem 29go września, gdzie przez 4 godziny trwał karabinowy i armatni ogień. Miasto było dość wielkie, ale my szliśmy po tlących się jeszcze popiołach. Zamek przepyszny z ogrodem, za mieszkanie panującemu służyć mogący, został w perzynę obrócony, jedna tylko brama z tym napisem została: „Moi, Comte Rostopchine, proprietaire du lieu, à été le prémier pour allumer ma maison, enfin qu'aucun Français ne souille pas ma demeure par sa présence.“

Niechęć ta do nas tak była powszechną, że gdy raz w jednej wiosce na noclegu zastaliśmy kilku chłopów i jednę starą kobietę przeszło 50 lat mającą, jenerał nasz stając w niej kwaterą, chciał dać bieliznę swoją do wyprania; dobył więc pieniędzy, aby pokazać, że chce jej zapłacić. „Możesz mi głowę ściąć — rzekła — życie moje jest w twojem ręku, ale ani twoich pieniędzy nie wezmę, ani usługi żadnemu Francuzowi nie zrobię.“ Nie było już znaczniejszej akcji, aż pod Czerniszno, dnia 4go października, na drodze do Kaługi. Tam ogień wszczął się o godzinie 3ciej z południa. Nieprzyjaciel był w większej liczbie i miał mocne stanowisko. Siedm razy kolumna kawalerji naszej otoczona była z przeraźliwym wrzaskiem przez kozaków, a brygada nasza cofając się w szachownicę, zawsze ich odpierała, aż nakoniec noc ciemna obie strony do spoczynku przymusiła. Cofnęliśmy się o pół mili od tego miejsca i cała linja jazdy obóz swój rozłożyła. Tu przez 14 dni obie armje były tylko w obserwacji. Nieczynność robiła nam nadzieję pokoju. Rozsiewano pogłoski, że w Moskwie rozpoczęto negocjacje, a lubo nie biliśmy się przez te kilkanaście dni, traciliśmy codziennie ludzi i konie, przez dalekie posyłanie za furażem, bo małe te komendy kozacy ciągle nam zabierali. Przyszedł nakoniec rozkaz cesarza, byśmy się cofnęli dla zajęcia kwater zimowych. O godzinie 8mej rano dnia 18go października mieliśmy wyruszyć, ale o 6ej zostaliśmy napadnięci przez nieprzyjaciela i na wszystkich punktach tak silnie zaatakowani, że każdy korpus został przecięty. Tam kilkanaście armat stracił jenerał Sebastiani, a 3 armaty piąty korpus, którym książę Poniatowski dowodził. Punktem połączenia się był wielki gościniec, ale zniką d nie mogliśmy dostać przewodnika. Tak więc nasz korpus musiał oddzielnie bronić się i działać; jenerałowie nie mając żadnej komunikacji, maszerowali tylko na domysł, wysyłając co moment za szukaniem szlaku, aż nakoniec jasność dnia wskazała nam wielki gościniec, na którym uformowaliśmy front, oczekując drugich korpusów. Nieprzyjaciel już dalej za nami nie nacierał.

Muszę tu przytoczyć piękny czyn sierżanta mego pułku, Aleksandra Rakowskiego, syna podprefekta radomskiego. Był on przy eskorcie jenerała Latour-Maubourg. Widząc że wachmistrz mego pułku, Zelewski, otoczony przez kilkunastu kozaków i pchnięty kilka razy piką, został w niewolę uprowadzony, rzucił się z trzema ochotnikami, rozpędził kupę kozaków, odbił wachmistrza, podał mu konia i sam tylko lekko ranny w rękę powrócił z nimi do szeregu. Codziennie potem rano napadali nas kozacy, lecz ci pospolicie na bagaże i powózki z tyłu idące uderzali, przyczem prawie zawsze coś ułowili. Marszałek Durutte i my tworzyliśmy ariergardę wielkiej armji, lecz to nie przeszkadzało, żeby kozacy pomiędzy korpusy nasze się nie przedzierali i z boków nam się nie pokazywali. Przyznać trzeba, że kozacy w tej kampanji największą usługę swemu krajowi przynieśli; z nimi prawie zawsze mieliśmy do czynienia, a lubo ten żołnierz ani ataku nie wytrzyma, ani nie natrze, gdy mu się front zrobi, nikt jednakowoż od niego lepiej nie zna wybiegów wojny podjazdowej. Mieliśmy jeszcze większe, ale mniej znaczące w rejteradzie naszej utarczki, pod Drogobuczem, Medynem i Nowym Jarosławiem, gdzie cesarz francuski tak blisko i niespodzianie zbliżył się do korpusu czterech tysięcy kozaków, że w momencie z krzykiem ich

zwyczajnym został napadnięty i otoczony, ale dwa szwadrony gwardji cesarskiej wystarczyły, aby ich odpędzić i zmusić do ucieczki. Pułk, który mi powierzono, wśród takich okoliczności doprowadziłem do Smoleńska.

Drogi w tej porze roku tak były zepsute, że w całej armji palono wozy, konie zaś dawano do armat. Nareszcie i ten środek nie wiele pomógł. Dawaliśmy konie z pod kawalerji, ale te osłabione, pod większym ciężarem ustawały i upadały. Sto czterdzieści mil cofając się przez wioski i miasteczka w popiołach, nietylko nie mieliśmy się czem żywić, lecz nawet gdyśmy na noc stanęli, od słót i wiatrów mroźnych nie mieliśmy zakrycia.

Gdy cała już kawalerja nasza zdemontowaną została, wyszedł rozkaz, by każdy regiment wysłał, co miał ludzi, do jenerała Latour-Maubourg. Z tych szczątków uformował on korpus z 2.000 jazdy różnej broni, do którego i ja 15 moich posłałem, zostawiwszy jeszcze przy sobie tylko 10ciu. Rozprószenie armji naszej było zupełne. Nieład tak był powszechny, że do korpusów żadnych rozkazów nie przysyłano. Dodać trzeba postrach, alarmujących codzień i zabierających bagaże kozaków, a łatwo zrozumieć, że każdy o ocaleniu siebie tylko myślał, nie troszcząc się o drugiego. Ja zawsze trzymałem się mego jenerała Tilmana, który także nie mając już komendy jak wielu innych jechał powozem. Tym sposobem codziennie w obawie i niepewności postępowaliśmy, nie wiedząc nic o losach armji, a co rano słysząc w tyle huk to z armat, to z wozów amunicyjnych wysadzanych w powietrze. Koło Orszy zostałem wzięty w niewolę....

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Zabudowania klasztorne leżały na płaszczyźnie starannie uprawionej; dokoła zasiane zboża, ogrody warzywne, plantacje indychtu, grupy drzew morwowych, krajały łany w kwadraty, u samego zaś krańca, ciągnęły się pola ryżowe, ze względów sanitarnych oddalone od mieszkań. Obręb kyoungu przedstawiał się z odległości trzystu do czterystu metrów, w całej okazałości; był on ztąd podobnym do olbrzymiego parku. Mur z cegły wypalonej okalał plantacje i grunta uprawne, zabudowania były odgraniczone czarno pomalowanemi sztachetami. Od środka miasta aleja z tamarind kreśliła prostą linję, zatrzymując się przed fasadą głównego budynku; druga droga wychodząc z przedmieścia obiegała mur ogrodowy, i prowadziła do kyoungdauh, czyli pawilonu zamieszkałego przez prowincjała.

Gmach stylem przypominał klasztory greckie z czasów Konstantyna, mogące w danej chwili zamienić się na fortece. Wznosił on się na dwa piątra, z terasą opasaną zębatym murem, i przystrojoną w mistyczne kwiaty i wyrzynania, które bogato zdobiły fronton, gzymsy i balustradę. W dolnych salach zgromadzała się dziatwa okoliczna, pobierająca naukę czytania i pisania; na górze był nowicjat a drugie piętro przeznaczono dla księży, którzy przeszedłszy jedno święcenie, po próbie trzechletniej gotowali się do objęcia obowiązków duchownych. Po za głównym gmachem rysowały się różne małe budynki, oddzielone każdy dziedzińcem, i tam mieściła się służba klasztorna. Nakoniec lewe skrzydło łącząc się szczytem z główną budową, nęciło oko spokojem linji, powierzchowną skromnością i plastycznym majestatem. Było to mieszkanie księży, *poouguys* (mnichy ascety), zwanych także *rahans* (mędrcy); zajęciem tych ludzi było pobożne rozmyślanie i dążenie do stanu świętości, czyli *nibana*, w którym dusza zwolniona z więzów ziemskich i zatopiona w kontemplacji bóstwa, cieszy się szczęściem niebiańskiem.

Rozmiar dziedzińców, komunikacje, przystęp świeżego powietrza, wszystko było starannie obmyślane. Natura na każdym kroku roztaczała swoje powaby obok architektonicznej sztuki; zieloność, woń krzewów, barwa kwiatów spływała w dusze oderwane od świata, darząc je zamiłowaniem samotności. Opodal rósł cienisty lasek, gdzie każdy mógł dowoli oddać się rozmyślaniom nad marnościami świata, i celem do którego dąży, przez wyrzeczenie się roskoszy ziemskich.

W każdym kyoungu jest osobny budynek przeznaczony na mieszkanie przełożonego; odznacza on się zwykle bogactwem ozdób na które sadzą się sektarze, w myśli uczczenia zewnętrznym przepychem, cnoty i wysokiej godności Tsaya. Jeżeli klasztor jest rezydencją prowincjała, powierzchowne bogactwo potęguje się do rozmiarów książęcego zbytku, rywalizując wspaniałością z pałacami monarchów.

Mieszkanie prowincjała diecezji Theybo, znajdowało się w prawem skrzydle kyoungu, ciągnąc się równolegle do pawilonu poonguystów; główny dziedziniec okolony sztachetami z bramą złoconą, odgraniczał zabudowania. Gmach wystawiony z najkosztowniejszych gatunków drzew krajowych, pokryty liśćmi ze złota i srebra, wyszczególniał się wspaniałym portykiem. Kolosalne schody prowadziły do przysionka; bajeczne kształtem smoki z drzewa złoconego, których pazury, oczy i zęby były wysadzane drogiemi kamieniami, strzegły wnijścia, a z dwóch stron wkopane w ziemię olbrymie maszty wznosiły w niebo symboliczne figury. Na jednych było godło ptaka *henzah*, czczonego w świętych legendach, na drugich powiewały bandery o jego kolorach.

Dom mieszkalny w surowym stylu na zewnątrz, był bogato rzeźbiony w środku i ukoronowany potrójnym dachem przyozdobionym w girlandy, festony i łuki. Galerja z kolumnadą łączyła go z drugą częścią budynku, zwaną Tarahyoom; jestto rodzaj konklawu, przedmiot najwyższej czci gorliwych wyznawców budaizmu, w którym zbiera się bractwo rahanów dla wyświęcania księży lub na obrady zakonu. Budowa tej świątyni była wspaniałych rozmiarów, oświetlona z góry otworami w dachu; czworograniasta wieża strzelała śmiało w niebo szczytem, uwieńczonym delikatnej roboty żelaznym pierścieniem, u którego tysiące przywieszonych dzwonków, srebrzystym głosem dźwięczały w powietrzu. Lekkość linji, fantastyczne ozdoby rysujące się na tle lazuru, mglista perspektywa, światło i natura dokoła zlewające się harmonijnie, nadawały tej budowie uroku świętości.

Frontowa część klasztoru widziana w całości, okazywała całą swoją wielkość w linjach architektonicznych wspaniale pojętych; surowy styl fasady zdobiącej seminarjum i nie mniej piękny chociaż bogato przystrojony portyk gmachu biskupiego, odbijały majestatycznie na zielonym tle drzew i kląbów. Tuż przy Kyoung-dauh, był park prowinciała, pełen kwiatów i przepychu natury umiejętnie prowadzonej, pełen skarbów świata roślinnego i zwierzęcego.

Nie mniej pięknie, a może jeszcze więcej uroczo przedstawiał się klasztor od strony ogrodów, z tajemniczością swoich cienistych ustroni i wyniosłych drzew, z po nad których pagoda, gdzie pobożni składali swoje dary, wychylała błyszczącą od złota i srebra kopułę.

Nasyciwszy wzrok wspaniałym widokiem, puściłem się dalej w okolice szukając dalszych wrażeń i przypadek szczęśliwie mi w tym względzie posłużył. Płaszczyzna zaczęła się chylić łagodną spadzistością i tuż u stóp wzgórza, ujrzałem rzekę po nad którą rzucony most z drzewa, zadziwiającej lekkości, prowadził do drugiego kyoungu, mniejszych rozmiarów,[1] ale więcej uroczego i powabnego. Kanał zasilany wodami rzeki, i zaopatrzony śluzą, okalał mur ogrodowy, czyniąc przystęp niemożliwym.

— Czyja ta czarująca posiadłość? — zapytałem mojego milczącego przewodnika, z którym dotychczas nie zamieniłem jeszcze ani słowa.

— Jest to klasztor zakonnic.

— Zakonnic?.. Myślałem że z wyjątkiem zakładu w pobliżu Mandelay, reszta została zniesiona.

— Rzeczywiście, za wstąpieniem na tron cesarza Mendon-Mheng, większa część klasztorów żeńskich była zamknięta.

— A jakiej przyczynie należy to przypisać? — zapytałem.

— Nierząd i zgorszenie jakie się wkradły, były powodem tego kroku. Nie wszystkie atoli klasztory zasłużyły na podobną karę, a przedewszystkim nie ten, który pan widzisz.

— Co za urocze położenie! Przynajmniej piękność ustronia koi chociaż częściowo żal i smutek tych biednych samotnic.

— Żal i smutek? Za cemże by miały żałować!... One równie jak i my dobrowolnie usuwają się od świata i mogą w każdej chwili doń powrócić.

— I taki powrót do świata odbywa się bez skandalu?

— Bez najmniejszego.

Chwilę zatopiony w myślach milczałem.

— Czy zakonnice równie jak i księża żyją z jałmużny i chodzą po kweście? — zagadnąłem dalej mego przewodnika.

— Cesarz wyznacza pewną kwotę roczną tego rodzaju zakładom. Toż samo czyni nasz przełożony dla tutejszych zakonnic, bo swojemi przemowami pobudza hojność składających ofiary. Ale mogą i one doszedłszy do pewnego wieku, zgłosić się o wsparcie do osób pobożnych.

Dotychczas nie zwróciłem uwagi na fizjonomję mówiącego; po ostatnich jego słowach podniosłszy wzrok, ujęty zostałem wyrazem słodyczy, jaki się malował na jego twarzy. Podziękowałem mu grzecznie za udzielone mi szczegóły, a tymczasem doszliśmy do mostu.

— Śmiem zrobić uwagę — odezwał się mój przewodnik — że nie wolno nam iść dalej. Żaden zwidzający bez osobnego pozwolenia przełożonego nie może przekroczyć tego wnijścia, a i w takich razach trzeba jeszcze obecności duchownego przewodnika zakonnic, który jest także naszym kierownikiem.

— Chciałem złożyć ofiarę tym wielebnym niewiastom; ale kiedy tak to wróćmy — odrze-

klem, i krocząc zwolna obok mego towarzysza usłyszałem następujące opowiadanie:

„Dwudziestopięcio letni młodzieniec, znakomitej rodziny w kraju, pokochał równą mu urodzeniem dziewicę, i szczęśliwi kochankowie by się połączyć węzłem małżeńskim, czekali tylko na powrót ojca narzeczonej, członka rady stanu wstrzymanego ważną sprawą w stolicy. Działo się to nie długo po wyniesieniu na tron Yasa Mendoon-Mheng, właśnie w chwili, gdy rząd zaczął nie bez powodów podejrzywać wierność jednego Tsauboua (książę lub wódz plemienia) którego posiadłość łączyła się z państwem od granicy Chin. Jeden z ministrów Ouonguy powziął szczęśliwą myśl pozyskania chwiejącej przyjaźni Tsauboua dobrem małżeństwem, i projektu swojego udzielił cesarzowi. Zwołana rada stanu zatwierdziła plan przedłożony, a cesarz przeznaczył na żonę dla wodza właśnie ową piękną narzeczonę, córkę radcy. Rozkazy cesarskie są nieodwołalne; nieszczęśliwy ojciec bojąc się popaść w niełaskę, nie śmiał wyznać przed monarchą uprojetokwanego połączenia córki z młodzieńcem, którego ona pokochała, a nie mając odwagi patrzeć na rozpacz kochanków zwlekał z dnia na dzień, oznajmienie rodzinie postanowienia Yasy."

„Złe nowiny rozchodzą się jednak szybko. Młody człowiek dowiaduje się o swoim losie i znalazłszy sposobność widzenia się sam na sam z kochanką udziela jej smutnej wiadomości. Następuje wybuch żalu.

„— Kochasz mię? — zapytała młoda dziewczyna ocierając płynące łzy. — Możesz mię oto pytać? — Więc przyrzeknij mi pozostać wiernym, a ja z mojej strony daje ci słowo że nie poślubię Tsauboua. — Przysięgam ci na lotus świętego prawa! — I ja także przysięgam!"

„Usta ich złączyły się pierwszym i ostatnim pocałunkiem; był to zakład uczynionej przysięgi. Tego samego wieczora młoda dziewczyna osłonięta nocnym cieniem, opuściła dom rodzicielski by się zamknąć w klasztorze. Na drugi dzień, gdy wieść o jej zniknięciu rozeszła się po mieście, młody człowiek wstąpił do zakonu."

„Wszelkie błagania były daremne; matka na klęczkach nic nie mogła wymódz na córce. Powołanie zakonne jest u nas do tego stopnia uszanowane, że ni władza rodzicielska, ni rozkaz monarchy, nie może odciągnąć duszy od pozyskania nibanu, stanu doskonałości i spokoju ducha, który jest przejściem do szczęścia wiecznego."

„Wkrótce ojciec otrzymał od żony wiadomość o wszystkiem co zaszło. Bojąc się gniewu cesarza, udał się wprost z posłańcem do pałacu a otrzymawszy audjencję, rzucił się do stóp swego groźnego władcy, przysięgając że nie on zawiadomił rodzinę o postanowieniu, jakie Yasa raczył powziąć względem jego córki, przyczem powołując się na świadectwo posłańca powiedział o jej ucieczce i zamknięciu się w murach klasztornych."

„Cesarz chociaż gorliwy w zachowywaniu przepisów religijnych, nie mniej uczuł się obrażonym, ale umiejąc zapanować nad pierwszem rozdrażnieniem wyrzekł spokojnie: — Tsauboua pojmie córkę innego z moich poddanych, wierniejszego i więcej oddanego na moje usługi niźli ty jesteś. Jeżeli powołanie twej córki jest prawdziwe, i czuje się rzeczywiście obdarzoną duchem świętości i czystej kontemplacji, jaki posiadał Budda na ziemi, — nic lepszego, niech zostanie w klasztorze. Ale jeżeli kiedykolwiek opuści samotność, co zresztą jest jej dozwolonem, będą w usunięciu się jej od świata widział tylko chęć sprzeciwienia się mojej woli i wywołania niechęci Tsauboua, a wtedy niech się strzeże mej zemsty!"

W tem miejscu braciszek przerwał opowiadanie; zwróciłem na niego wzrok badawczy, on rozumiejąc myśl moją dodał:

— Młoda dziewczyna dochowała przysięgi. Świecąc cnotami, przeszłego roku została przełożoną klasztoru.

— Ach! mój Boże!, — zawołałem mimowolnie — ileż ona może mieć lat w tej chwili?

— Dwadzieścia trzy, lub cztery najwięcej.

— A z jej narzeczonym co się stało?

— Budda, upragniony, roskosz ziemska, raczył owładnąć sercem nieszczęśliwego. Wlał mu dar języków, że może czytać i wykładać księgi *Sudras* (tekst święty) i obdarzył go płynną wymową, która mu dozwala słowami tłumaczyć przepisy prowadzące do Nibanu.

Wpatrzyłem się w krajobraz, mój towarzysz po chwili przerwał milczącą moją zadumę.

— Pan nie uważałeś jak wymowne jest jego słowo?

— Ja? ja go nie znam.

— I owszem, jest to jeden z trzech wikarjuszów naszego patrjarchy.

Nie miałem dotychczas sposobności mówienia z asystentami prowincjała, którzy przez skromność i cześć przynależną osobie Tsayi, byli tylko niemymi świadkami naszych rozmów. Po opowiadaniu mego cicerona postanowiłem zwrócić baczniejszą uwagę na wskazaną mi osobę.

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

W ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

Adam Czarnocki, Brodziński — torują drogę Mickiewiczowi. Młodzież stanęła w pierwszym pracowników szeregu, zwłaszcza śród młodzieży w Wilnie, zapalały się nowe światła, nowe odzywały hasła. Charakter Litwinów głęboki, cały we wnętrzu zamknięty, marzący i milczący, w chwili działania występuje śmiało, fantastycznie, energicznie. Takim był w historji, takim pojawił się teraz, mówiąc pierwszy: Romantyczność! — i wywołując z ludowych baśni ów świat niewidomy duchów, co do rozpaczy przywiódł klasyków dawniej szkoły, która „do swych piersi przytulała kołysząc już w pieluchach nieżywe dziecko umarłej fantazji." *)

Nic dziw że nowa poezja, zwana romantyczną, ogromne wywarła wrażenie. Jest to bowiem poezja prawdy, poezja rzeczywistości, gdyż oparta na własnych dziejach, na rodzimym charakterze, na znamionach życia narodowego, na podaniach ludu, w ogóle na tem wszystkiem, co stanowi istotę ducha narodowego. Jako taka, jako wyraz prawdy, silnie musi oddziaływać, przenikać w głąb serca i ducha i znajduje tam grunt dla siebie swojski, na którym rozplemia się bujnie. Romantyzm jest dalej przywróceniem praw indywidualizmu narodowego w poezji, jest wywołaniem ducha poezji zaklętego w utartej, klasycznej formie.

Po dokonaniu zwycięstwa nowej poezji nad dawną, nie dziw iż mistrz, który to zdziałał, sądził — że taki sam proces przeprowadzić musi nowa doba dziejów w polityce i religji. Polityka powinna była przywrócić prawa należne indywidualizmom narodowym, jak je teraz przywróciła poezja; religji i filozofji rzekomym było obowiązkiem, skruszyć formalizm dogmatów i teorji filozoficznych, a wykrzesać z tych gruzów pierwotną siłę chrześcijaństwa, pierwotną prostotę mądrości ojców kościoła.

Reformator poezji, nie mógł nie czuć w sobie popędu do reformy politycznej, religijnej i społecznej. Nie chcemy przez to posądzać Mickiewicza, aby układał reformatorskie plany i chciał je sposobem rutynicznym, drogą konspiratorską, wówczas przeprowadzać; mówimy tylko, że popęd do dalszych przeobrażeń musiał się wytworzyć z nowej literatury. „Literatura i oświata, jest to system nerwowy w ciele ojczyzny, jest to mózg, siedlisko wszystkich jej władz duchowych" *) więc co się działo w mózgu, w tym systemie nerwowym, to musiało naturalnym biegiem rzeczy, oddziaływać na cały organizm, na całą istotę narodu. Cudowność, zagadkowość, mistyczność, najwięcej zajmowały poetę, więc też i rozpływały się z jego ducha na okół, a spotęgowane własną jego poetycznością, wracały doń ze świata zewnętrznego silniejsze. Sam Mickiewicz mówiąc o młodzieży wileńskiej, prześladowanej przez Nowosilcowa, do której i on należał — przyznaje,**) że było tam coś mistycznego i tajemniczego: „Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży; religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów; kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami, lub uczestnikami zdarzeń, a opisane zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów."

Pod wpływem tych wrażeń, których — nawiasowo powiedziawszy—poeta nigdy się nie pozbył, musiał tem bardziej uczuć potrzebę zmiany stosunków, potrzebę „dziedziny ułudy, kędy zapał tworzy cudy", a „w krajach ludzkości jeszcze noc głucha" potrzebowała nowego światła. Któż je miał rozniecić? Komu miało się dostać w udziele, podjąć tę wielką pracę przeobrażeń? Komuż, jeżeli nie tym, co byli panami przyszłości — tj. młodzieży. I oto namaszcza ją mistrz nowego słowa na to posłannictwo w „Odzie do młodości:" „Dalej z posad bryło świata, nowemi cię pchniemy tory!"

Młodzież z zapałem, z entuzjazmem przyjęła rzucone sobie hasło, zwłaszcza — że odezwało się ono po chrzcie męczeńskim, jaki otrzymała na Litwie, skutkiem prześladowań Filaretów i Promienistych. Chłosty przez Nowosilcowa wymierzane i gwałty, więzienia i wygnania za to, że jak ukaz carski opiewa. „młodzież chciała w zdobytych krajach, rozszerzać nierozsądną polską narodowość," — odbiły się echem w sercach całej polskiej młodzieży. To też „z szybkością błyskawicy, jak grom grzmotu, rozległ się ten hymn od Newy po Odrę. Młodzież zrozumiała myśl jego. Myśl ta wydała się jakby

*) M. Mochnacki. O literaturze polskiej XIX wieku.

*) Libelt: O miłości ojczyzny.

**) Przedmowa do III części Dziadów.

hasłem, proklamacją przed walką. Dla niej ona była z serca wyśpiewana...“ *)

Stosunki polityczne, po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja, naprężały się coraz więcej, między konstytucji i praw swoich broniącym narodem, a rządem despotycznym cesarza, który absolutyzm w Rossji praktykowany, w Polsce dotkliwie objawiać począł, a prowincje litewsko-ruskie żelazną ścisnął dłonią. Sprawa młodzieży wileńskiej, stała się sprawą ogólną, narodową — i była niejako prologiem dalszych wypadków, które rok 1830 wywołały.

Uważaliśmy za konieczne dotknąć się tych wydarzeń, bo nam się wcale uzasadnionem widzi, uważać powstanie r. 1830 po części za skutek historyczno-polityczny, literacko-intelektualnej przyczyny. Całą tę generację, młodą, wypiastowaną już duchem romantyzmu „niepokonana moc jakaś parła ku robotom, o których ostatecznych następstwach, bodaj który z nich samych miał wtedy jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwem odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalkuł, — to była modła postępowania tego zastępu. W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w tej nazwie ukrywało coś więcej, jak same kwestje dotyczące poezji lub estetyki...“ **)

W odzie do młodości, w śpiewie wajdeloty „brzmiała rewolucja w teorji“ ***) a w historji bywają chwile „w których działalność wszystkich myślących jednostek świadomie, lub nieświadomie, dobrowolnie, lub przymusowo, pod wpływem nieprzepartych okoliczności, musi postępować w pewnym oznaczonym, często tylko przez pojedynczą jednostkę, kierunku.“ ****)

Szczególniej w dziejach naszych porozbiorowych, niewątpliwie dopatrujemy się tego, że literatura bywa przyczyną politycznych skutków — i odwrotnie: polityka źródłem rezultatów w literaturze. Pokrewieństwo polityki, religji i literatury w Polsce „rodzeństwu podobne, znajduje wspólną dla siebie matkę w pojęciu ojczyzny, — jak to Mickiewicz w prelekcjach swoich tłumaczy, mówiąc dalej — że patrjotyzm jest ojcem intelektualnego kierunku narodu.“ Prawdę tego widzimy nawet w codziennem życiu, zjawiającą się około i pośród nas, bo nawet cele czysto praktyczne, ściśle materjalne, stawiać sobie musimy w imię patrjotyzmu przed oczy, jeżeli mają być osiągnięte. Dość tu przytoczyć dzisiejsze nawoływania do pracy organicznej, która ze względu na przewagę znamion ekonomicznych, jakiemi się odznacza, zdawaćby się mogła sprawą osobistego interesu, a jednak założenie jakiejkolwiek fabryki, dopiero w imię patrjotyzmu do skutku doprowadzić się daje.

Nawet z zupełnie ogólnego stanowiska rzecz biorąc, musimy w sprawach literatury mieć na oku historję i odwrotnie — bo uzupełniają się one wzajemnie, jak myśl i dzieło, jak uczucie i czyn. Bez myśli, nie byłoby dzieła, bez uczucia, nie byłoby czynu. Historja notując dzieła i czyny narodu, zostawia literaturze zadanie rozpatrywania się w jego myślach i uczuciach, lecz wzajemnie usługiwać sobie muszą, „gdyż historja i literatura, są tylko dwiema różnemi formami jednego i tego samego duchowego organizmu, to jest rozumu ludzkiego, rozwijającego się z postępem czasu.“ *)

Dotknięcie się wypadków 1830 r. tem jest konieczniejsze, że gdy z jednej strony przedstawiają się one po części jako rezultat rozkołysania się narodu prądami młodej literatury, z drugiej strony stają się źródłem nowego kierunku w literaturze, stwarzają własną dla siebie poezję (Pieśni Janusza, przecudne poezje wojenne: Garczyńskiego, Słowackiego, Goszczyńskiego, Gaszyńskiego i t. d.); gdy zaś zamknęła się karta ich dziejów, gdy już w przeszłość zapadły, posłużyły messjanizmowi do rozrostu.

Nadmieniliśmy poprzednio, że w usposobieniu narodu znalazł messjanizm swoją rację bytu, że w klęskach narodu się wypiastował, — teraz dodajemy, że **wyrósł** w cierpieniach tułactwa po r. 1831. (C. d. n.)

*) Dra. Cybulskiego Odczyty i t. d. T. I. str. 190.

**) Antoniego Małeckiego: Juljusz Słowacki jego życie i dzieła. Lwów 1866. T. I str. 144.

***) Dr. W. Cybulskiego odczyty o poezji polskiej 19 w. T. II. str. 40.

****) Tamże. T. II str. 1.

*) Dr. W. Cybulskiego odczyty. T. II. str. 36.

Z Manfreda

Lorda Byrona.

„When the moon is on the wave...“

Gdy w wód zwierciedle księżyc się odbija,
W trawce robaczek świętojański lśni;
Gdy błędny ognik ponad grobem drży,
Światło się w pęki nad bagniskiem zwija;
Gdy gwiazd lecących migają się skry,
A sów gromada jednym jękiem wtórzy,
Gdy liście milczą spiąc cichości snem —
O takiej porze, wśród cienistych wzgórzy,
Dusza ma znajdzie się przy duszy twej,
Z tą mocą swoją i z tem hasłem swem.

Chociaż sam będziesz w głębokim już śnie,
To duch twój własny nie będzie mógł spać;
Są cienie, — które nie rozproszą się,
Są myśli, — które próżno będziesz gnać.
Przez moc dla oka twego utajoną
Ty nigdy, nigdy nie możesz być sam:
Okryty jesteś śmiertelną zasłoną,
Zamkniętyś w chmurę zkąd nie ma już bram!
I tak z tym duchem, co z czarów mych wiał,
Ty wieszcze będziesz obcowanie miał.

Choć nie postrzeżesz mnie gdy będę szła,
Twe oko, czując, będzie mnie śledziło,
Jak coś, co chociaż niewidzialność ma,
Gdzieś blisko ciebie musi być i było...
A gdy pod wpływem tajemnych tych drżeń
Rzucisz dokoła błędno oko swoje,
Dziwić się będziesz czemu jak twój cień,
Jak cień twój własny, ją w miejscu nie stoję —
oc natenczas będzie w tobie tléć,
Ale z tą mocą ty musisz się kryć!

Już czarodziejskich zaklęć moich głos
Dał duszy twojej złorzeczenia chrzest —
I duch, co z duchów napowietrznych jest,
Zasadzki swoje w koło ciebie wzniósł;
W pośrodku wichrów ten głos się dziś kryje,
Co każdą ziemską roskosz twą zabije.
Tobie odmówi nawet nocny cień
Spokoju, jakim przestwór jego tchnie,
I będzie, będzie miało słońce dzień,
Lecz ty zapragniesz by zapadło się!

Z fałszywych łez twych wycisnęłem ja
Płyn, co potęgę zabijania ma;
Czarną krew dała twego serca głąb,
Krew, jaka w źródłach najczarniejszych wre;
Węża schwyciłam gdyś uśmiechał się;
On był jak w gnieździe sam zwinięty w kłąb.
Z własnych ust twoich ten wdzięk wydobyłam,
Który dla innych był największem złem,
A gdy już wszystkich trucizn doświadczyłam
Większej nie było nad tę — w sercu twem!

Przez twą pierś zimną i wężowy śmiech,
I przez chytrości przepaść niezgłębioną,
I przez to oko, skrywające grzech,
Przez duszę twoją kłamstwami stoczoną,
Przez dar tej sztuki, z jakąś światu dał
Własne twe łono za człowiecze łono —
Przez roskosz — którąś z ludzkich męczarń ssał,
Przez kainowe współbraterstwo twe,
Ja ciebie wzywam, ja dziś zmuszę cię,
Abyś dla siebie sam piekłem się stał!

Teraz miej głowę — ot tym jadem zlaną,
Jadem co ma ci namaszczenie dać.
W twem przeznaczeniu nie będzie ci dano
Zasnąć, ni skonać — tylko wiecznie trwać!
Co chwila będziesz śmierć już bliską zwać,
Mając w niej tylko groźbą ukazaną...
Już cię te czary otoczyły w krąg,
Ten niemy łańcuch całego cię sprzągł,
Przez mózg i serce przepłynął już prąd
Mego przekleństwa — teraz czas byś wiądł!

Bitwa pod Iłżą

w r. 1831.

Z pamiętników E. Berzeviczego.

(Ciąg dalszy.)

Zdumieliśmy, zkąd Różycki wziął się koło nas? — nie wiedzieliśmy bowiem, że tylko dwa szwadrony naszych uderzyło na dragonów, i że jeden szwadron z pułkownikiem został był na górze. „Sława Bogu!“ krzyknąwszy koło nas, pogalopował Różycki szpalerem jakby dla defilady, a w istocie szukał równego sobie przeciwnika.

Pułkownik dragonów stał niedraśnięty pomimo tylu strzałów na czele swego pułku, i gdy oko Różyckiego padło na niego, przystanął, podniósł szablę i odbył się niewidziany dotąd pojedynek dwóch dowódców, przy którym to pojedynku dwa pułki były niememi i pełnemi podziwu świadkami. *)

Iskry sypały się za każdem zetknięciem się szabli; żaden z przeciwników nie ustępuje kroku. W tem otrzymuje Różycki lekkie draśnięcie w lewą rękę w chwili, gdy pułkownik od dragonów chciał mu cugle przeciąć; — lecz w tymże samym momencie dostaje od Różyckiego tak mocne cięcie przez środek twarzy, że spada z konia, i później gdyśmy już za uchodzącymi dragonami pognali, z innymi jeńcami dostaje się w niewolę.

„Sława Bogu!“ krzyknęła wiara, gdy pułkownik Howen spadł z konia — i z innymi wpadła na piersi dragonów; — a mnie w tem zdarzeniu trafił się przypadek, którego tu żadną miarą nie mogę pominąć milczeniem.

Jak wyżej wspomniałem, nie uczyłem się obrotów lancą. Sądziłem, że najskuteczniejsze powinno być pierwsze uderzenie, gdy lancę mocno do boku przycisnę i w pędzie konia, t. j. całym impetem na nieprzyjaciela wpadnę.

Postępując tedy wedle mego mniemania pocisnąłem konia ostrogami a ten jak wściekły,

*) Jest to jedna z tych homerycznych scen w całej tej wielkiej epopei, że dziwić się należy, iż żaden z naszych malarzy dotąd jej nie zużytkował? Rzucamy myśl w nadziei, że polski pędzel przeniesie na płótno tę godną upamiętnienia scenę.

skoczył prawie na łeb przeciwnika. Lanca do boku przyciśnięta, uderza w pierś moskala i natrafia na coś tak twardego, że choć go pewnie mocno raniła, — z konia mię strąca, tak że mi tylko jedna noga w strzemieniu się została.

Myślałem, żem przepadł! Szczęściem koń mój mając po bokach inne konie w szeregu, musiał się przy samych nozdrzach koni moskiewskich chwilkę zatrzymać, a ta chwila była dostateczną dla mnie, ażeby się na siodło wydostać.

Uderzając powtórnie, byłem już ostrożniejszym: trzymałem się bowiem lewą ręką kuli od siodła, do której też cugle przycisnąłem; sądziłem również, że każdego, którego pchnę lancą, winienem z konia zsadzić: — uderzywszy więc jednego lub drugiego, nie odejmowałem lancy, lecz dopóty nią przeciwnika spychałem, aż z konia zleciał, co zabierało mi wiele czasu.

Wracam do bitwy.

Dragoni zwróciwszy z trudnością konie, zaczęli „na łeb na szyję“ do parowu uciekać; ja nie byłem w stanie klaczy mojej wstrzymać, — kłółem po drodze i spychałem z konia swoim zwyczajem trzymając się kuli od tarlicy. Mimo woli byłem w momencie na drugiej stronie parowu i spostrzegłem przed sobą dragonów, tym razem znowu ku nam odwróconych a zajętych równaniem się do szeregu... Oglądam się: ani jednej naszej białej czapki nie widzę! Ostatni dragoni wydobywają się z parowu, lecą do frontu, przed którym grzmi komenda „*Strojsia! Strojsia!*“ Równają się, ale jeden za blisko mię przelatywał, — pchnąłem go więc silnie lancą pod ramię, a gdy dragon mój z konia zleciał, co się nie dalej jak trzydzieści kroków od ich frontu działo, już Wizoski na owym karym koniu i więcej naszych nadleciało; — tu powtórnie złamawszy front, pędziliśmy ich polami i kłuli potężnie. Jeszcze raz usiłował pułk zatrzymać się, lecz nie mógł dojść porządku: — zrobiło się zamięszanie, w którem przez moje niedoświadczenie o mały włos że cięcia pałaszem nie dostałem; spychając bowiem jak zwykle napotkanego dragona, który jak przytroczony do siodła twardo na niem siedział, spostrzegłem, że drugi wprost na mnie leci, i kto wie, coby się stało, gdyby nie był porucznik Domaradzki na szczęście moje nadjechał i lecącego ku mnie dragona tak zrąbał, że prawie jednocześnie obaj nasi adwersarze z koni pozlatywali. Nie miałem wyobrażenia, że można pałaszem tak dzielnie robić; — w momencie otrzymał dragon kilkanaście cięć w głowę i to przez kask, którego druty niewytrzymały potężnego ciosu.

I znowu rozpoczął się taniec! Dojechałem jednego z tyłu i jakoś nisko przy samem siodle lancą go pchnąłem — podskoczył od siodła i zleciał sam z konia. — Ha! pomyślałem, dobrze że wiem gdzie moskal najmiększy — nie będę nawet potrzebował ich tak ciężko ranić! Przyznaję się, że biłem bez żadnej zawziętości, która, powiadają, każdego walczącego opanowuje; — biłem, bo dobro ojczyzny tego wymagało; dla umniejszenia więc sił wrogowi starałem się każdego z konia strącić, — po strąceniu jednak gdy każdy klękał, i błagalnym głosem wołał „*pożałuj batiuszka,*“ żal mi go było i nie tknąłem go więcej.

Goniąc dalej za dragonami, uczułem naraz mocny kurczowy ból, który pochodził w skutek ciągłego galopowania, przy którem klacz moja, szczególnie w krótkim galopie, nadzwyczaj się rzucała. Skuliłem się więc we dwoje, i ażeby mię między dragonów nie zaniosła, ściągnąłem cugle zwalniając jeden o tyle, ażeby ją do galopowania w kółko przymusić. Wtedy to ty nadbiegłeś do mnie kochany kolego, poruczniku Antoni Szaszkiewiczu — zapytując czylim ranny? Po półwieku blisko — przychodzi mi tu wdzięcznie wspomnieć twoją koleżeńską troskliwość.

Po chwili ustąpiły kurcze tak, że mogłem się swobodnie wyprostować, i widzę, jak dragoni zwracają w prawo ku wiosce do Iłży przypierającej i zatrzymują się na wstępie między opłotkami w ulicy, którą zapewne z rozkazu ich jenerała zabarykadowano. Kilkunastu naszych, którzy byli na przodzie — wpadło między nich i zostało oskoczonych, kilku wzięto do niewoli a kilku raniono; najmocniej rannym był porucznik Antoni Szaszkiewicz, który przed chwilą kilka słów ze mną wymienił. I mnie byłby niechybnie tenże sam los spotkał, gdyby nie owe gwałtowne kurcze, które kazały mi więcej zająć się własną osobą, niż losem bitwy.

Sądziliśmy, że na tem koniec. Żołnierze nasi uprowadzają rannych, pomiędzy którymi i porucznika; — w tem wyrywa się jeszcze jeden nasz z tłumu dragonów, pędzi ku nam na karym koniu, ale zamiast białej czapki ma dziwne jakieś ubranie na głowie, przystrojone w federbusze, harcopy, jedno w dół drugie w górę sterczy — nie podobna z daleka rozpoznać co to za dziwadło? — Nareszcie przypatrujemy się: — Wizoski! Czapkę, rogatywkę grubo wywatowaną po rąbano mu tak zabawnie, że każdy z nas pomimo, że Wizoskiemu po twarzy i brodzie krew spływała, śmiał się z nieboraka.

— Wizoski kochany, jak to było, żeś się dał tak zrąbać? zapytał któryś. — „A niech go djabli wezmą z jego koniem! dla tego to ten Dzierżek nie chciał na nim iść do bitwy, — bestja twarda w pysku jak djabeł! Wpędziłem się, powiada — między tych łajdaków tak, że musiałem lancę rzucić i wziąć się do pałasza; — opędzam się na około, częstując jednego po trąbie, drugiego po zauszu, gdzie którego mogłem dostać, ale że za wielu ich miałem, chciałem skręcić i zemknąć, tymczasem mój koń stał jak wryty, — ani sposób go z miejsca ruszyć! A tu mospanie kilkanaście pałaszów czesze po głowie; w desperacji pozwalam się chwilkę bezkarnie rąbać, a tymczasem rznę mego konia pałaszem w łeb. Ten manewr dopiero obrócił go i zmusił do posłuszeństwa, — ale mi szelmy czapkę popsuli!“

— To fraszka czapka, ale jesteś ranny, daj się opatrzeć lekarzowi, może pójdziesz do lazaretu? — „E to furda! żebym się do mego dereszka dostał, to najważniejsza“ odrzekł, niezważając na opływające we krwi rany.

I w samej rzeczy, otrzymał Wizoski tylko kilka lekkich cięć przez skórę, z których w krótce, nie złażąc z konia, wyleczył się.

Dragoni osadzeni może o sto pięćdziesiąt kroków od nas w opłotkach, oczekiwali posiłków, które jak nam doniesiono, były już w pochodzie nie daleko, i z tego powodu kazano nam formować się. W początku komenderowali tylko oficerowie, później i podoficerowie, nareszcie wszyscy, a nawet i nasz sławny śpiewak Nudera swoim dźwięcznym głosem — „formuj się!“ śpiewał — ale w zamięszaniu tem nie mógł się pułk jakoś złożyć. A tu, jakby dla urągowiska podjechał na kilkadziesiąt kroków do nas jeden dragonista dekorowany medalami, duży, łysy jak bundz, bez kaska, z lancą którąmuś z naszych odebraną, i w swoim języku przedrwiwając, wzywał nas do spróbowania się z nim.

Właśnie pod tę porę zjawiła się nasza chorągiew i za jej pomocą począł się pułk nareszcie formować, nie było więc czasu o jednym dragonie myśleć; — porucznik Domaradzki jednakowoż, chcąc dragona przekonać, że ta lanca nie we właściwej ręce się znajduje, podjechał do niego — jako oficer tylko w pałasz uzbrojony. Dragon postawił się, a przypuściwszy porucznika, śmiało z lancą wpadł na niego. Lecz ta w niewprawnem ręku jak pióro odleciała na bok i dragon w tej chwili otrzymał, wprawdzie jedno tylko cięcie w łysinę, lecz takie, że poprawić nie było potrzeby — zdaje mi się, że ostrze dopiero na zębach się oparło. I na ten drugi pojedynek patrzyły obydwa wojska... — „Trzeba ci tego było!“ pomyślałem.

Reszta dragonów w opłotkach tak była przestraszona, że lada natarcie nasze, a z pułku kompletnego nie byłoby się nic zostało. Zdybywaliśmy ich kilka razy później zformowanych w małe dwa szwadroniki, ale zawsze nam z drogi ustępowali. Straty z naszej strony były nieznaczne, widocznie Pan Bóg opiekował się nami.

Ponieważ jenerał Słotwiński prowadził Moskalom znaczne posiłki i te już niezbyt daleko od nas były, więc pułk nasz zformowawszy się, maszerował eszelonami przez pobojowisko. Pobojowisko zasłane było trupami dragonów, a nawet kilka koni ich leżało prawdopodobnie rażonych kulami pistoletowemi lub karabinowemi, — gdyż armat nie mieliśmy. Nie daleko parowu przyjęła nas piechota okrzykiem — niech żyją Wołyńce a jenerał Różycki całował serdecznie w obec całego korpusu ze łzami w oczach, naszego pułkownika.

Podczas tej gonitwy piechota nasza zrobiła tu już porządek; ranni Moskale siedzieli lub leżeli na kilkudziesięciu podwodach, a na pierwszej siedział pułkownik od dragonów z obwiązaną twarzą, ten sam co z naszym dowódcą w obecności dwóch pułków ową sławną walkę stoczył. Przejeżdżając o parę kroków od jego wozu, wbiła mi się w oczy jego fizognomia, jakbym go dziś widział. Niski, krągłej twarzy, rudo zarastający, silnie zbudowany człowiek, — siedział ponury nie patrząc nam w oczy. Oprócz rannych zabrała nasza piechota ośmdziesiąt koni i tyleż zdrowusieńkich dragonów, którzy się w parowie z końmi powywracali.

Wszystko przygotowano już do pochodu i podwody z rannymi i jeńcami, zostały małym konwojem do Miechowa odesłane, my zaś maszerowaliśmy przez jakąś wioskę, a dalej lesistą okolicą ku Szydłowcowi. W owej wiosce udało się jeszcze naszym strzelcom przetrzepać skórę kozakom, którzy nadciągnąwszy z jenerałem Słotwińskim najeżdżali naszą straż tylną. Kilkanaście koni kozackich prowadzili ci strzelcy, zostawiwszy rannych i pobitych kozaków na placu.

Po tej bitwie, gdy nasz kolega wachmistrz Kermizon do szpitalu odszedł, awansowałem na jego miejsce.

Odtąd zostawili nas dłuższy czas w spokoju, — lecz jenerał Kwietnicki połączony z Słotwińskim czekali tylko sposobności, ażeby pomścić się za zadaną im klęskę pod Iłżą. Cóż to! czyż garstka ruchawki bez armatki, zdoła oprzeć się połączonym ich siłom? Oczekiwali tylko, byśmy w jakiej dogodnej dla nich pozycji stanęli — i sposobność potemu w krótce im się nadarzyła...

W okolicy lesistej, milę od miasteczka Przytyki stanęliśmy obozem na wielkiej niby polance, mającej dwa tylko wyjścia, a to gościniec pro-

wadzący lasem do Przytyki i wąską drożynę wiodącą przez różne polanki w tymże samym kierunku. Nie mieliśmy żadnej wiadomości o zbliżaniu się Moskali, więc zdawało się, że spokojnie obozować będziemy.

Po godzinie odpoczynku nadjechał adjutant jenerała Samuela Różyckiego do naszego pułkownika z rozkazem oddzielenia dziesięciu swoich na dobrych koniach, jako asystencję jenerałowi, który sam na rekonesans udać się zamierza. Do tych zostałem ja, Anaklet Bohdanowicz i ośmiu innych przeznaczony.

Jechaliśmy tedy za jenerałem przez lasy i pola mając zawsze miasteczko Przytyka po lewej ręce. W pół godziny, gdy od obozu już na jakie pół mili odjechaliśmy, spostrzegliśmy dwóch jeźdźców ku nam dążących, w których za zbliżeniem się poznajemy polskich sztabowych oficerów; — jeden z nich przedstawił się jenerałowi jako pułkownik Ułan, drugi zaś jako podpułkownik Berkowicz — potomek niegdyś sławnego kapitana Berka. Jenerał witał ich serdecznie.

Przyczyna, dla której odwidziny te nastąpiły, przyjęła nas wszystkich radością i wdzięcznością.

— „Pan jenerał raczy przyjąć — rzekł pułkownik — osierocony korpus jenerała Dębińskiego, który przedarł się z Litwy i składa się z jednego szwadronu oficerów, jednego szwadronu podoficerów i sześciu armat. Załogą stoimy w miasteczku Przytyka i czekamy dalszych rozkazów jenerała.“

— Uszczęśliwiacie panowie mój szczupły korpus, gdyż szczególnie brak armat dotkliwie czuć się nam dawał — odrzekł jenerał, i ledwie ostatnie słowa wymówił, zagrzmiały działa w naszym obozie. Moskale zastawszy nas w niezbyt, jak rzekłem dobrej pozycji, przypuścili atak z wielką natarczywością.

— Panie pułkowniku! bież do Przytyki i sprowadź mi jak najspieszniej najlepsze działa swoje! — To rzekłszy, ruszyliśmy galopem do naszego obozu, zkąd ogromny huk dział słychać było.

W parę minut prawie, byliśmy na szosie prowadzącej przez las do Przytyki i tu ujrzeliśmy piechotę naszą cofającą się i widocznie partą przez nieprzyjaciela z tyłu. Wkrótce dotarliśmy do przednich rot. Z tyłu ogromna kanonada, kule ryczą nad głowami a czasem obok padają; — co się tam za nami dziać musi! przepadliśmy w tej cieśninie... Obyż tylko działa z Przytyki jak najrychlej nadbiegły! pomyślałem.

Jenerał kazał nam dziesięciu konnym frontem przed piechotą maszerować, a sam pochwycił część naszej piechoty i rozsypał ją po prawej ręce gościńca, gdzie był las rzadszy w tyraljery; — zaledwie ich ustawił, już chmura dragonów rozsypanych krzyczy „hurah!“ i szarżuje na nich. — Jenerał biegnie na każde zagrożone miejsce, ściąga najbliższych w kupę, którą Iżaka formuje, i rzną do nich na kilkanaście kroków przypuściwszy — z karabinów; — dragoni jedni padają jak kłody, drudzy uciekają.

Samuel Różycki był jenerałem piechoty i miał sławę, osobliwie w rejteradach. Rzeczywiście imponujący był to widok gdy ten starzec tę ćmę dragonów kilkakrotnie odpierał; — nieraz truchlałem, widząc kilkudziesięciu dragonów uderzających na jenerała, który ledwie kilkunastu swoich na około siebie mógł zgromadzić, i tak szczupłą garstką odpierał dragonów. W tem nadciągają i nasze działa z Przytyki pod dowództwem zdając się Kaczanowskiego. — Piechota z radości „hurah!“ zagrzmiała, i rozstąpiła się dla umieszczenia baterji. Niebawem też zagrały nasze armaty i wzmógł się huk aż ziemia zda się drżała w posadach...

Po ruchu wojska naszego uważałem, że od czasu zjawienia się dział naszych wolniej maszerowaliśmy — widocznie parcie ustało. Moskale bowiem, gdy z naszej strony strzały działowe usłyszeli, zgłupieli zupełnie i sądzili prawdopodobnie, że wraz z działami i inne otrzymaliśmy posiłki.

Jeśli dalej na uwagę weźmiemy, że już za drugim strzałem koń księcia Wirtemberskiego padł, nie dziw, że w zapale ostygli i poczęli w nacieraniu folgować; — dragonja znikła wkrótce jak kamfora a my wyszedłszy z lasów w pole i uszykowawszy się do przyjęcia bitwy, daremnie na nią do wieczora czekaliśmy. Ogień ręcznej broni trwał wprawdzie do ciemnej nocy, lecz były to tylko strzały pojedyncze, nareszcie zupełnie ustały, i my spokojnie na noc do Przytyki przybyliśmy, gdzie nas już oczekiwały owe szwadrony Dembińskiego.

W samą porę zesłał nam Bóg działa — bez nich bowiem kto wie jaką klęskę mogliśmy ponieść, w takim ostępie pochwyceni.

Po wymarszu z Przytyki został korpus nasz znowu wzmocniony wojskiem nowo kreowanem a to, trzema szwadronami mazurów Kuszla i plutonem huzarów, których umundurowanie od huzarów moskiewskich prawie niczem się nie różniło. Podobieństwo to mundurów sprawiło nam raz szkodę a oraz i hańbę, — którą tu opiszę.

Jednego dnia stojąc obozem zdaje mi się pod Opatowem, uwiadomiono nas, że Moskale mają zamiar w nocy na nasz obóz uderzyć. Naturalnie byliśmy w pogotowiu do przyzwoitego przyjęcia nieproszonych gości, stojąc całą noc pod bronią. Daremne czekanie! Dnieć poczynało, a o Moskalach ani słychu; — cóż robić? — Korpus ruszył z miejsca z pułkiem wołyńskim jako przednią strażą. Minęliśmy już miasteczko położone w dole i weszli w głęboki wąwóz prowadzący pod szczyt góry, gdy nagle straż przednia otrzymała rozkaz, który brzmiał krótko: „Z koni! i stać przy koniach!“

Pułk nasz zapełnił prawie cały wąwóz a reszta korpusu stanęła w mieście i za miastem. Żołnierze znużeni całonocnem czuwaniem siedzieli bądźto u brzegu wąwozu, bądź drzemali sparci na koniach, a niektórzy dla ożywienia fantazji szukali między kolegami pełnych manierek.

Na szczycie góry, z którego rozciągał się widok na obszerną płaszczyznę rozpościerającą się u jej podnóża, spoczywało dwóch żołnierzy w przedniej rocie, gdy w tem jeden z nich spostrzegł w oddali zbliżający się oddział kawalerji.

„Moskale czy nasi?“ taka myśl przesunęła się mu przez głowę na widok postępującego oddziału — ale że to było jeszcze szarawo bo ledwie pierwszy brzask dzienny rozpraszał cienie nocy, więc trudno było rozpoznać ubiory i uzbrojenie. Towarzysz, któremu ów żołnierz udzielił swoich spostrzeżeń uspakajał kolegę utrzymując że to nasz pluton huzarów.

Ze zbliżającego się oddziału kawalerji, który na chwilkę stanął, podjechał oficer bliżej, przypatrzył się drzemiącemu naszemu pułkowi i na dany znak ręką, ruszył wolno ku nam całym oddziałem, utwierdzając tem samem mniemanie że to swoi, i uspokajając wszelkie obawy. Wreszcie, gdzież można było przypuścić aby dwudziestu Moskali z oficerem na czele odważyło się atakować pułk cały, choćby nawet drzemiący?

Lecz tak się stało! I ledwie nasi dwaj żołnierze zwrócili oczy w inną stronę dobiegły ich naraz zmięszane głosy wrzawy i huki strzałów, które tak ich przeraziły, że nie próbowali nawet podnieść się z ziemi, lecz skuliwszy się lepiej pod brzeg się zacisnęli.

(Dok. nast.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

Rozdział VIII.

(Ciąg dalszy.)

(Piraci w okolicach zagrody. — Tymczasowe zagospodarowanie się. — Dalsze leczenie Harberta. — Pierwsze uniesienia radości Pencroffa. — Zwrot do przczszłości. — Co przyszłość w sobie chowa? — Myśli Cyrusa w tej kwestji.)

Tak więc jak się pokazało, piraci znajdowali się wciąż w pobliżu, nie spuszczając z oka zagrody, zdecydowani wymordować osadników jednego po drugim. Pozostawało tedy tylko obejść się z nimi, jak z dzikiemi bestjami. Pierwej jednak należało przedsięwziąć jak najostrzejsze środki ostrożności, nędznicy ci bowiem w danej chwili mieli po sobie lepszą pozycję, mogli obserwować wszystko, sami nie będąc widzianymi, mogli zejść i przemódz osadników niespodzianym napadem, sami nie potrzebując się tego obawiać.

Cyrus Smith urządził tedy wszystko w ten sposób, aby umożebnić osadnikom dłuższy pobyt wewnątrz zagrody, której zasoby zresztą mogły wystarczyć na czas dosyć długi. Mieszkanie Ayrtona zaopatrzone było we wszystkie niezbędne do życia rzeczy, których rozbójnicy, przerażeni niespodzianem zjawieniem się osadników, zrabować jeszcze nie mieli czasu. Prawdopodobnie, jak zauważył Gedeon Spilett, rzecz cała odbyła się w sposób następujący. Sześciu piratów, po wylądowaniu na wyspę, udało się południowem jej wybrzeżem i przebiegłszy podwójne wybrzeże półwyspu wężowego a nie mając bynajmniej ochoty do zapuszczenia się w lasy Zachodniej Ręki, dotarło do ujścia potoku katarakty. Znalazłszy się zaś tam, prawym brzegiem rzeki doszli do góry Franklina i tu, co rzecz naturalna, szukając schronienia, odkryli zagrodę, naówczas niezamieszkaną. Usadowili się wniej tedy, prawdopodobnie z zamiarem wykonania w dogodnej chwili obrzydliwych zamiarów swoich. Przybycie Ayrtona musiało ich spłoszyć, spostrzegłszy jednak z kim mają do czynienia, pochwycili niewątpliwie tego nieszczęśliwca i... resztę łatwo już było odgadnąć.

Obecnie łotry te, wprawdzie już tylko w pięciu ale dobrze uzbrojeni, musieli włóczyć się po okolicznych lasach, tak, że chcieć się w nie zapuścić, byłobyto nastawić się na ich ciosy, bez możności odparcia lub uprzedzenia niebezpieczeństwa.

— Czekać!... To tylko nam pozostaje w tej chwili! — powtarzał Cyrus Smith. Skoro Harbert wyzdrowieje, będziemy w możności urzą-

dzenia obławy na całej przestrzeni wyspy i damy wreszcie radę tym zbójcom. Rzecz ta nawet musi być kardynalnym celem naszej wielkiej wyprawy, równie jak...

— Odszukanie naszego tajemniczego opiekuna, dodał Gedeon Spilett, kończąc myśl inżyniera. Ah! wyznać należy, mój drogi Cyrusie, że na ten raz jego opieka nam nie dopisała i to właśnie w chwili, gdy jej najwięcej potrzebowaliśmy!

— Kto wie! — odrzekł inżynier,

— Jakto rozumiesz? — spytał korespondent.

— Że może nie jesteśmy u kresu trosk naszych, mój drogi Spilecie, i że potężna władza naszego protektora nieraz jeszcze znajdzie do zamanifestowania się sposobność... Ale nie oto teraz chodzi. Życie Harberta to nasz najwyższy cel w tej chwili.

I w istocie był to najwyższy cel a zarazem najboleśniejsza troska osadników. Przeszło dni kilka i stan biednego chłopca nie pogorszył się na szczęście. A w takiej chorobie zyskać na czasie, znaczyło już bardzo wiele. Zimna woda, utrzymywana ciągle w odpowiedniej temperaturze, zapobiegła w zupełności zapaleniu się ran. Zdawało się nawet korespondentowi, że woda ta, nieco siarczana, co się wyjaśniało bliskością wulkanów, — oddziaływała wyjątkowo dobrze na zabliźnienie ran. Ropienie o wiele się zmniejszyło dzięki nieustannym staraniom, któremi go otaczano, Harbert począł powracać do życia, coraz mniej gorączkując. Pomimo to, wciąż jeszcze pozostawał na djecie, co go niezmiernie osłabiło, ponieważ jednak nie brakło mu ziółek ani spokoju — stan jego coraz się polepszał.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff nabyli wielkiej biegłości w opatrywaniu chorego młodzieńca. Wszystką bieliznę znajdującą się w zagrodzie na to poświęcono. Rany Harberta, pokryte szarpiami i okładem nie były ani zbyt, ani niedostatecznie ściśnięte, ale o tyle aby sprowadzić zabliźnienie się ich, bez wywołania zapalnej reakcji.

Korespondent przykładał do tych opatrywań szczególną staranność, wiedząc dobrze, co znaczą, i wciąż powtarzał swoim towarzyszom zdanie, którego słuszność większa część medydów chętnie uznaje: że niewątpliwie rzadziej się zdarza widzieć dobrze opatrzoną ranę, aniżeli dobrze wykonaną operację.

Po upływie 10 dni, 22 listopada, stan Harberta widocznie się polepszył. Młodzieniec począł już nawet przyjmować nieco pokarmu. Rumieńce powracały mu na lica a poczciwe oczy jego zaczynały się uśmiechać do otaczających jego łoże. Mówił już nawet po trochę, pomimo wszelkich wysileń Pencroffa, który chcąc mu przeszkodzić, plótł bezustanku, opowiadał najnieprawdopodobniejsze awantury. Harbert pytał po kilkakroć o Ayrtona, którego nieobecność dziwiła go, wiedział bowiem, że powinien był znajdować się w zagrodzie. Marynarz jednak, nie chcąc zasmucić młodzieńca, poprzestał na odpowiedzeniu, że Ayrton połączył się z Nabem i obadwaj pilnują Granitowego Pałacu.

— Ha!.. wołał od chwili do chwili — a cóż panowie rozbójnicy! To mi dżentelmeni, nie mający prawa do najmniejszego miłosierdzia. A p. Smith chciał apelować do ich sentymentów!... Dałbym ja im sentyment, ale ołowiany i to dobrego kalibru!

— I nie pokazali się już od tego czasu? — spytał Harbert.

— Nie, moje dziecię — odpowiedział marynarz — ale znajdziemy my ich, i jak wyzdrowiejesz, przekonamy się, czy ci nędznicy odważni gdy godzą z tyłu, ośmielą się nam stanąć twarzą w twarz!

— Jestem jeszcze bardzo bezsilny, mój biedny Pencroffie!

— E! Wrócą ci siły powoli! Cóż to znaczy strzał przez piersi! Ot żarcik i kwita! Nie takie już rzeczy widziałem a nie mam się dla tego gorzej!...

Wszystko tedy zdawało się jak najlepiej układać i z wyjątkiem jakiejś niespodzianej komplikacji, wyleczenie zupełne Harberta można było uważać za pewne. Jakieżby jednak było położonie osadników, gdyby się stan jego pogorszył, gdyby naprzykład, kula była została w ciele, lub jeśliby ramię albo nogę amputować było potrzeba!

— Nie! — odzywał się nieraz Gedeon Spilett — nigdy nie mogę pomyśleć o podobnej ostateczności bez zadrżenia!

— A jednakże — gdyby tego była potrzeba — odrzekł mu pewnego dnia Cyrus Smith — nie byłbyś się wahał działać?

— Nie, Cyrusie! — odpowiedział Gedeon Spilett — ale niech Bogu będą dzięki, że mi oszczędził podobnej próby.

I w tym więc wypadku, jak w tylu innych osadnicy szukali rady tylko w owej logice zdrowego rozsądku, która im tyle razy tak dobrze usłużyła — a i w tym razie, dzięki nadto wiadomościom ogólnym jakie posiadali, także ich nie zawiodła! Nie trzebaż się jednak było obawiać, że może nadejść chwila, w której cała wiedza ich nie wystarczy. Sami byli na całej wyspie. Tymczasem ludzie dopełniają się przez życie społeczne, niezbędni są sobie nawzajem. Cyrus Smith pojmował to bardzo dobrze i wielekroć zapytywał sam siebie, czy nie może zajść jaka okoliczność, której sami poradzić nie potrafią!

Zresztą zdawało mu się, że on i jego towarzysze, dotąd tak szczęśliwi, wstąpili naraz w jakąś fatalną epokę. Od więcej niż dwóch lat, od czasu jak uciekli z Richmondu, można powiedzieć, że wszystko szło im jak z płatka. Wyspa dostarczyła im w obfitości minerałów, roślin, zwierząt, a z drugiej strony, z tak wielkiej hojności przyrody wiedza ich umiała wyciągnąć wszelką możliwą korzyść. Dobrobyt materjalny osady, był można powiedzieć zupełny. Co więcej, w pewnych okolicznościach, niepojęta jakaś władza przychodziła im z pomocą!... Ależ to wszystko mogło się naraz skończyć!

Słowem Cyrusowi Smithowi zdawało się, że szczęście się od nich odwracać zaczyna.

I w istocie, okręt piratów pojawił się na wodach wyspy — i chociaż złoczyńcy ci, można powiedzieć cudownej ulegli zagubie, sześciu z nich jednakże uniknęło katastrofy. Ci wylądowali na wyspę — a dzisiaj pięciu z nich, którzy jeszcze pozostali, niepodobna było prawie pochwycić. Ayrton został niewątpliwie zamordowanym przez tych nędzników, posiadających broń palną i władających nią tak dobrze, że przy pierwszym wystrzale, kula ich ugodziła Harberta prawie śmiertelnie. Nie byłyż to przypadkiem pierwsze ciosy nieprzychylnej doli, która odtąd miała dręczyć osadników? Oto zapytanie, które wciąż stawiał sobie Cyrus Smith!... Oto troska, którą się bezustannie dzielił z korespondentem i obudwom im zdawało się także, że i pomoc owa osobliwa, której dotychczas tak skutecznie doznawali, teraz ich opuściła. Czyżby ta istota tajemnicza, której istnieniu, ktokolwiek by ona nie była, nie podobna było zaprzeczyć, czyżby ów opiekun opuścił wyspę? A może i sam uległ z kolei losu jakiemu nieszczęściu?

Na te zapytania wszelka odpowiedź była niepodobieństwem. Niech sobie nikt jednak nie wystawia, iżby Cyrus Smith i jego towarzysz dla tego, że rozmawiali o tych rzeczach, mieli być ludźmi zdolnymi do rozpaczy. Bynajmniej! Zdawali sobie jasno sprawę ze swego położenia, rozbierali wszystkie jego strony, przygotowywali się na wszelki wypadek, wyprostowali się odważnie i spokojnie w obliczu przyszłości — a jeśli jakie przeciwności miały na nich uderzyć — znajdą dwóch ludzi gotowych do nieustraszonej walki.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XIII.

Niejeden wzdycha do tego, by mógł być wielkim panem. Nie złe to na codzień, ale ręczę, że są chwile, w których i największy pan wzdycha, by mógł na parę godzin zostać chudym pachołkiem, i włożyć na obce barki „pańszczyznę,“ którą mu wykonywać przychodzi. Wyobraź sobie np. kochany czytelniku, że przez noc odziedziczyłeś mnóstwo rozmaitych kluczów, zamków, folwarków, lasów, gruntów, fabryk, kapitałów, a w dodatku do tego świetne i zacne imię. Za karę wszakże, los który mści się na najniewinniejszych śmiertelnikach, kazał ci być, dajmy na to, wicekrólem Gapistanu z przyległościami. Nie mógł on wprawdzie znęcać się nad tobą, jak nad innymi, nie mógł *trenować* cię po biurach jako konceptspraktykanta i koncypistę, nie mógł wysłać cię do Bobrownik na zluzowanie tego pana starosty, o którym głosi fama, że nie ma do kogo napić się wódki, bo nawet sam p. Kocubejowicz ma *un quartier de noblesse de moins que lui*, i w ogóle nikt w całym powiecie nie ma rasy — ale los zawsze znajdzie sposób, ażeby ci dokuczyć. Wypadnie ci koniecznie, nie dziś, to jutro, przejrzeć spis rozmaitych Gapistańczyków, którzy z tego lub innego powodu mają prawo lub pretensję, oglądać cię z bliska. Odbywasz tę czynność, wyznaczasz dzień i godzinę, zaświecasz sto kilogramów świec, każesz zastawiać stoły wszystkiem, co w twardym lub płynnym stanie nęcić może gapistańskie podniebienie, ubierasz stu pachołków w liberję z francuska, pięćdziesięciu innych w własną twoją, rodową barwę, każesz muzykantom grać, że aż serce taje nawet w niżej podpisanym nieprzyjacielu melodji i harmonji, i myślisz, że na tem koniec? O, nie mój łaskawco! Będziesz stał przez trzy godziny u wejścia do głównego twojego salonu. Będziesz miał na ustach twój zwykły, uprzejmy uśmiech, który zjawia się tam bez przymusu, jeżeli mu nie każesz stać tam jak na szyldwachu. Z tym uśmiechem powitasz sześciuset najznakomitszych obywateli Gapistanu, i będziesz pamiętał, że ten zbawia ojczyznę, pobierając emeryturę jako minister od nieadministrowania, tamten, służąc monarsze przed panem Bogiem, tamten znowu, służąc Panu Bogu przed ołtarzem, tamten, słu-

żąc ziomkom wymową, tamten, zamykając ich do kozy, tamten, lamentując z tego powodu, tamten, pustosząc ich kieszenie, tamten, udając że chciałby je napełnić, tamten, spisując o tem wszystkiem tomowe dzieła, tamten, robiąc tylko krótsze komentarze w fejletonach, kronikach i pogadankach, tamten, ćwicząc rekrutów, ażeby w obronie poprzednich, umieli w danym razie skoncentrować się poza frontem, a tamten nakoniec, uprawiając rolę ojczystą i narzekając na złe ceny ziemiopłodów. Musisz to pamiętać, bo już nieboszczyk Smollett obłożył wieczystą klątwą każdego dygnitarza, któremuby pamięć nie dopisała w podobnym wypadku. Otóż, mój łaskawco, to wszystko razem nazywa się recepcją, a jeżeli kiedy pozazdrościsz komu fortuny, imienia i stanowiska, westchnij też mimochodem nad tą jego niedolą. Ciekaw jestem, coby twoja rodzina powiedziała na to, gdyby jej przyszło podejmować gościnnie pana Xa, o którym nie jest pewną, czy nie jest p. Ypsilonem, albo co gorsza, gdyby jej wypadło dać się całować po rączkach sławetnemu Imć p. Onufremu i pracowitemu Andryjowi, o których dotychczas nie skonstatowano etnologicznie, jak sobie radzą na wypadek, gdyby dostali kataru?

Doch — der Mensch versuche die Götter nicht,
Und begehre nimmer und nimmer zu schauen
Was sie gnädig bedeckt mit Nacht und Grauen!

Zostań na wsi, kochany czytelniku, a gdyby ci kto zaproponował tego rodzaju pracę, porzuć raczej *paterna rura* i zamieniaj je ze mną na to stalowe pióro, za pomocą którego rozmawiam się z Tobą. Jestem gotów do tej ofiary.

* * *

Z wielkim dla chronologji uszczerbkiem, uniosłem się późniejszemi wrażeniami i zapomniałem zacząć „Pogadankę“ tam, gdzie skończył się tydzień ubiegły. A wszak skończył on się najświetniejszą niedzielą całego postu, niedzielą wszystkich a wszystkich naszych Józefów! Żaden Jan, żaden Jędrzej, żaden Ignacy, jakkolwiek każdy z nich niepospolite zajmuje w kalendarzu miejsce, nie może poszczycić się tak powszechnem uznaniem, jak ten uprzywilejowany patron. Mówią, że nawet kościół przyznaje mu wyjątkowe przywileje, że udziela w jego święto tego sakramentu, na którego szafowanie przeznaczony jest głównie karnawał. Nie wiem, bo nie próbowałem nigdy wstępować w stan małżeński w tak nadzwyczajnych warunkach, i nie wiem także, dla czego nie święty Jan, który poprzedził Nowy Zakon, ani święty Adam z Ewą, którzy nas wszystkich poprzedzili, ale właśnie ten bezpotomny wybraniec Pański używa takich prerogatyw przed apostołami, męczennikami i wyznawcami. To tylko wiem, że 19 marca cały świat jest jakiś wykolejony, nie swój, rzekłbym prawie, zawieruszony. Opowiadano mi za rzecz pewną, iż zdarzyło się, jako jeden z najsystematyczniejszych naszych współobywateli przebudziwszy się raz dnia 20 marca ku wielkiemu swojemu zdziwieniu spostrzegł, że *jasiek* jego wisi na ścianie, podczas gdy klapiąca zwykle w tem miejscu klepsydra kieszonkowa zastępowała jego miejsce pod uchem. Nie chcę tu opowiadać innych szczegółów, towarzyszących temu jednemu *qui pro quo*, nadmienię tylko dla określenia sytuacji, że mąż, o którym wspominam, przybył był do swojego pomieszkania dnia 19go marca bardzo późnym wieczorem, i że na samym wstępie w ten przybytek, miał dłuższą przemowę do swojej szafy z książkami, która pomimo najenergiczniejszych z jego strony wezwań, na żaden sposób nie chciała ustąpić mu się z drogi. Wszystko to, w braku jakiego poganina, któremuby można przypisać podobne psoty, spada na świętego Józefa. Gdy jednak *Tydzień* jest pismem więcej literackiem, aniżeli teologicznem, pozwolę sobie wspomnieć kilkoma słowy o św. Józefie z czysto literackiego punktu widzenia.

Mamy tedy w piśmiennictwie trzech Józefów, o których pamiętaliśmy i myśleliśmy przeszłej niedzieli. Jeden z nich — w obcej stronie, mógł być pewnym serc naszych — jak daleko polska brzmi mowa, jak daleko ludzie po polsku czytać umieją, tak daleko wspominano, że to dzisiaj imieniny Józefa Kraszewskiego, i oby mu Nieba dały długie życie i zdrowie. Drugiemu weteranowi tego nazwiska, Supińskiemu, danem nam było złożyć hołd tu na miejscu. Jest i trzeci, młodszy, który niechajby sam przemocą nie chciał wymazywać się z pocztu tych, których kochamy; który niechajby zawsze został dla nas autorem „Wallace'a“ autorem tylu innych pięknych rzeczy, z rozkoszą i pożytkiem czytywanych, a nie stawał w szeregu, od którego każda postać czysta odbija jak biały krzyż od czarnego całuna. Niech nam żyją nasi dwaj Józefy, i niechaj trzeci także zostanie naszym, oto, co powtarzamy w oktawę!

Jan Lam.

Filozofowie — Niewolnicy.

Wł. Okońskiego.*)

Trudności wyższego wzlotu myśli odstraszające słabość duszy ludzkiej, i pokusy wywabiające 'jej siłę w niedoścignione sfery medytacji, tak spłoszyły zwyczajny, przeciętny rozum naszych czasów, tak odciągnęły od niego filozofję, że dziś stała się ona w świecie myślenia krainą strachów, niebezpieczeństw i nudów. Ogół bowiem mniema, że niedość posiadać zwykłe duchowe siły, ażeby módz wznieść się w te sfery spekulacji, gdzie umysły wątlejsze straciwszy z oczu znajomy widok życia, mdleją i duszą się w zbyt rozrzedzonem powietrzu abstrakcji. Zwłaszcza od czasu jak filozofja niemiecka zaczęła wyrabiać osobne do nadziemskiego wzbijania się balony, odsądzono w jej imieniu każdą inną od wszelkiej styczności z myślowemi operacjami głów powszednich. Filozofować, znaczy do dziś snuć takie pasmo argumentacji, któregoby żaden profan nie umiał rozplątać i w któremby ani jednej znajomej sobie nici nie odnalazł. A jednakże — jeśli rozpętamy swoją logikę ze szkolarskich formułek i spojrzymy przenikliwiej w głąb' rzeczy, przekonamy się łatwo, że kręcenie abstrakcyjnej przędzy i zwijanie z niej metafizycznych kokonów sposobem niemieckiej systematomanji, nie jest bynajmniej najwyższem i najtrudniejszem zadaniem ludzkiego ducha, nie posiada żadnych wyjątkowych przywilejów w dziedzinie myśli, a wreszcie nie ma prawa do wyłącznego używania tytułu — filozofji. Żadna bowiem definicja nie jest zdolna ściśle odgraniczyć tej sfery działań naszego ducha od innych, dostępniejszych kierunków jego badania. To jest — mówiąc językiem przykładu — żaden dyalektyczny wysiłek nie potrafi dowieść, że naiwne medytacje dzikiego nad obrotami ciał niebieskich są czemś zupełnie różnem od najgłębszych rachunków naszej astronomji, że moralista ludów barbarzyńskich nie zostaje w pokrewieństwie z twórcami systematów naszej etyki. Wprawdzie porównanie rezultatów myślenia na odległych szczeblach rozwoju przedstawia olbrzymie różnice, hypoteza dzikiego, który w zaćmieniu widzi napad psów na słońce i każe je bębnieniem i krzykami odpędzać, nie jest jednoznaczną z kosmologiczną teorją naszej astronomicznej wiedzy, ale nie podobna zaprzeczyć, że zarówno owa hypoteza jak i ta teorja są wynikami myślenia, osiągniętemi na jednej i tejże samej drodze. Przekonanie, że światem rządzą nieświadome prawa nie wypowiada identycznego wniosku z przekonaniem, że ów rząd spoczywa w ręku jednej świadomej siły, ale czyż mimo to oba te przekonania nie są filozoficzne? Czy kto odważy się twierdzić, że albo Demokryt albo Kato nie jest filozofem, dla tego że pierwszy był materjalistą a drugi idealistą? Bynajmniej. Filozofja bowiem jest i być może tylko wnioskowaniem, a wnioskuje zarówno Tomasz z Akwinu jak i Spencer, chociaż ich konkluzje są odmienne. Nie zmienia to postaci rzeczy, że jedni posiadają większą duchową siłę i wiedzą więcej niż drudzy, jedni i drudzy wnioskują jak mogą i umieją. Jozue nie jest wcale przeciwstawieństwem do Kopernika, tak jak naturaliści, którzy przed odkryciem czarnego łabędzia utrzymywali, że wszystkie łabędzie są białe, nie utracili prawa nazywania się zoologami.

Charakterystycznem znamieniem nowożytnej wiedzy jest ten, przez nią odnaleziony i nieśmiertelny pewnik, że zarówno w świecie objawów fizycznych jak i duchowych istnieje nieprzerwana łączność i rozwój. Już dziś przestaliśmy odosabniać i odkrawywać pojedyncze działy stworzenia, zrywając między niemi wszelki związek; podobnie musimy zarzucić zwyczaj odgraniczania różnych postaci i epok myślenia. Wyżej wspomniałem, że filozofja nie jest niczem innem, jak tylko wnioskowaniem. Jeżeli z probierzem tego określenia zaczniemy szukać jej śladów i objawów, to dostrzeżemy łatwo, że właściwie filozofem jest każdy logicznie myślący człowiek: zarówno barbarzyniec jak cywilizowany, zarówno prostaczek jak i genjalny badacz. Dla tego zaś tylko zwracamy naszą uwagę i podziw na jednych a odmawiamy szczególnego uznania drugim, że tamci uczą nas świeższej i bardziej przekonywającej prawdy, ci zaś powtarzają nam pojęcia znajome błędne lub wątpliwe. Sprawdźmy to na jakimkolwiek przykładzie. Nasz chłopek powiada, że góry i doliny zostały kiedyś stworzone i od tego czasu niezmiennie istnieją. Tymczasem filozof-geolog Lyell przekonywa, że owe góry i doliny tworzyły się powoli i potrzebowały na sformowanie się setek tysięcy lat. Nauka przyjmuje pogląd Lyell'a a nie chłopka, czyż oni jednak obaj nie filozofują! Cóż znaczy, że pierwszy kombinując swoje ubogie wiadomości wyprowadza konkluzje błędne, stare i niezgodne z prawdą, a ostatni rozporządzając olbrzymim materjałem wiedzy przy pomocy swego genjuszu wyciąga wnioski nowe i przekonywające? Oba robią toż samo — rozumują, różnica między nimi jest tylko ta, że pierwszy rozumuje w zakresie szczuplejszym i nieudolnie, drugi w szerszym i potężnie. Tenże stosunek obserwować możemy w innej stronie. Wyznawca zasad cyrenajskiej

*

*) Rzecz czytana w Krakowie, na dochód Towarzystwa wzajemnej pomocy łącznie z Anteą, obrazkiem dramatycznym autora, osnutym na tle życia starogreckiego.

szkoły Hegezjasz tak wymownie zbrzydził swym uczniom życie, że wreszcie raz gromadą się powiesili. Hegezjasz nazwany został filozofem, dla czego filozofem nie ma być pessymista, który tylko w samobójstwie widzi jedyną ucieczkę przed dolegliwościami życia? Mogą Hegezjasze być od zwykłych sceptyków wymowniejszymi, rozumniejszymi, wykształceńszymi, to wszystko jednak nie monopolizuje dla nich wyłącznie honoru filozofów, pomiędzy „nauczycielami śmierci." Kiedy psy hiszpańskiej inkwizycji zaczęły rozszarpywać, a jej pobożni apostołowie niemi szczuć biednych Indjan Ameryki, nieraz skazane na śmierć ofiary rzucały w twarz cywilizowanym tyranom słowami tak głębokiej filozofji, na jaką się żaden Luter nie zdobył.

Filozofuje więc każdy bez wyjątku, kto tylko ze swych pojęć i uczuć wysnuwa wnioski, objaśniające mu prawdę bądź zewnątrz, bądź wewnątrz niego wypisaną. Czy owa prawda jest nią rzeczywiście i zawsze, to kwestja innej natury, i bynajmniej nie od jej rozwiązania zależy prawo do tytułu filozofa. Bo żaden ludzki umysł nie jest wolny od pomyłek i zabezpieczony w swej nieomylności; jedna więc konieczność przygniata i obowiązuje zarówno dusze zwykłe jak i genjalne.

Pod zasłoną tej uwagi, która wydaje mi się sprawiedliwą, możemy bezpiecznie pokusić się o wprowadzenie do filozofji — niewolników. Pomaga nam w tej mierze szczególne dziejowe zjawisko. Świat starożytny a my w spadku po nim zawdzięczamy wiele nieśmiertelnych idei ludziom, których matki urodziły w społecznej obroży. Historja filozofji grecko rzymskiej z dumą zapisała niejedno nazwisko, które współcześnie, nim je ozdobił blask zasługi, wymawiane było ze wzgardą. Diogenes z powrozem u szyi stał do sprzedania na targu, Epiktetowi jego pan łamał w gniewie kości, obok tych zaś kolosów grupuje się cała rzesza mniejszej miary myślicieli niewolników. Patrząc na nich, czujemy pewne zdziwienie i ciekawość poznania, jakie czynniki składały się na wytworzenie tego dla nas dziś niewytłumaczonego zjawiska! Żaden dzisiejszy lokaj lub furman nie jest w przekonaniu naszem istotą, którąbyśmy podejrzewać mogli o chęć i możność wystąpienia z własnym filozoficznym systematem; cóż dopiero mówić o stworzeniu tak pognębionem i odsuniętem od wszelkich źródeł myśli, jakiem był niewolnik? Czy sądząc *a priori* można przypuścić, że w tych ciałach odartych z ludzkiej godności, w tych duszach, które nielitościwy ucisk ubezwładnił i kaleczył, tliły się iskry rozświecające szerszy horyzont myśli, niż sięgały ich zwierzęce instynkta? A jednakże tak było, dzięki najrozmaitszym socjalnym i psychicznym właściwościom, z których się ten zagadkowy objaw wywiązał.

Bo nie zapominajmy przedewszystkiem, że jakkolwiek społeczne różnice stanów w świecie starożytnym były daleko większe aniżeli dzisiaj, umysłowe dorównywały obecnym zaledwie w części. Grecki lub rzymski obywatel, zwłaszcza w czasach, kiedy niewolnictwo było najświętszem i najbardziej wyzyskiwanem prawem, nie stał wobec swej służby na tem stanowisku wyższości na jakiem stoi dziś odpowiedni mu społeczny żywioł. Mimo wszelkiego sceptycyzmu — albo szczerzej mówiąc — mimo wszelkiej wiary w małuczkość ukształcenia dzisiejszych panów, niepodobna zaprzeczyć, że na jego skali zajmują oni nie tak bliskie stopnie względem swych służących i w ogóle klas niższych, jak obywatele starożytni. Nie przyznając im w tej sprawie żadnej zasługi, przyznać jednak trzeba wpływ społecznym warunkom. Nowożytny ustrój narodów tak ściśle wyznaczył każdemu elementowi drogę duchowego rozwijania się, że żaden z nich nie może nagle przeskoczyć w sferę dla niego zbyt odległą. Najniższe u nas warstwy, jeśli ich los nie postawi w wyjątkowych okolicznościach, nie wydobywają się nigdy na wierzch swem ukształceniem. Bo naprzód ukształcenie to wymaga tyle razy dłuższej drogi, ile razy skromna wiedza starożytnych pomnożyła się przez późniejsze zdobycze. Co dawniej wystarczało ażeby zostać uczonym, to dziś zaledwie wystarczy do poznania naukowego abecadła. Jeśli zaś wciągniemy w rachubę ten ważny wzgląd, że zwiększone trudności walki o byt utrudniają zarazem możność przebycia na dłuższe trwanie rozłożonej edukacji i skracają czas pracy przygotowawczej, to zrozumiemy korzyści sytuacji najniższych klas starożytnych w porównaniu z naszemi. Niewolnik, jeśli tylko pan nie zabierał mu na swój użytek całego życia, mógł łatwo swoją głowę wzbogacić. Popierała go przytem bardzo ważna właściwość organizacji społeczeństw starożytnych. Zwykliśmy powtarzać, że ze wzrostem cywilizacji rozszerza się równoległa łatwość czerpania w źródłach wiedzy. Spostrzeżenie to jest tylko do pewnego stopnia słusznem. Bo wprawdzie monopol korzystania z edukacyjnych instytucyj tak dalece już upadł, że dziś można go uważać za zupełnie miniony, ale nie zapominajmy, że go zastąpiły przeszkody wynikające z rozwoju społecznych stosunków i potrzeb. Dziś wolno każdemu się kształcić, ale czy każdy kształcić się może? Cóż znaczy, że nauka ztaniała, jeśli dla dogodzenia wymaganiom czasu trzeba jej nabywać bardzo dużo?

Ile trudności musiałby pokonać nasz robotnik, gdyby chciał zapoznać się z naukowemi badaniami zasadniczych przedmiotów poznania? Tymczasem wtedy, gdy wiedza stanowiła jeszcze dorobek maluchny, gdy nauczyciele ujmując wszystko w treściwy system ogólnych pojęć wykładali swe prawdy publicznie na ulicach i placach, przystęp do nich był dla każdego bardzo ułatwiony. Dziś żaden wyrobnik z tego nie korzysta, że codziennie przechodzi koło Uniwersytetu lub gimnazjum; a iluż niewolników skorzystało z ulicznych rozpraw Sokratesa lub Zenona? Jeśli tylko którego z nich ciągnęła chęć wiedzy, a nie odpędzała konieczność, mógł zatrzymać się przed uczącym mistrzem, zapamiętać kilka jego twierdzeń i potem samodzielnie nad niemi dumać. Gdy zaś przypadkiem płodne ziarnko nauki padło w grunt urodzajny, rozrastało się obfitym plonem. Dodać nadto trzeba, że wielcy myśliciele starożytności zwykle wznosili się po nad kastowe pojęcia swego czasu i chętnie zbliżali się do męczenników społecznej klasyfikacji. Sokrates lub Epikur nie odpędziłby niewolnika przysłuchującego się ciekawie jego nauce.

Z łatwością nabycia wyższej edukacji łączyła się jeszcze specjalna z niej dla niewolników korzyść. Pan bowiem ciemnych włączał do sił roboczych swego inwentarza, ukształconym powierzał dozór i kierownictwo nad swemi dziećmi. Pierwsi prywatni nauczyciele wyrośli z niewolników, oni są praojcami dzisiejszych pedagogów i guwernerów. Rzecz naturalna, że jeśli nauka zapewniała tak korzystną zmianę pozycji i od jarzma prowadziła do nauczycielskiej karjery, stała się ważną dla społecznych wyrzutków przynętą. Pominąwszy bowiem lżejszy ciężar jej obowiązków, zauważyć trzeba, że ona skuteczniej i prędzej niż cokolwiekbądź emancypowała socjalnie. W niej więc widział niewolnik nie tylko zaspokojenie swej ciekawości, ale nadto nadzieję i ratunek. Czy mógł jej nie pożądać i nie zdobywać, ile razy tylko nadarzyła się do tego sposobność? Jeśli mu wzbroniono jawnie korzystać ze światła, kradł je tajemnie po promieniu i rozjaśniał swą duszę, wynagradzając sobie w ten sposób straty krzywdzącego gwałtu, zyskami niewinnego podstępu. A gdy w którąkolwiek z takich dusz nagromadziło się i stopiło wiele owych promieni, nagle zapalała się ona dla współczesnych niby świetna latarnia, rzucająca wśród społecznych burz przewodnicze błyski na zaciemnioną drogę... (Dok. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Uwagi do str. 695—734 polskiego tłumaczenie geografii Guthego. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbrandta 1875. Ciąg dalszy.*)

Str. 702, 19 (Tat. 7, 31). Przez pomyłkę zamiast Kończystej położono Koszystę wielką, wznoszącą się tylko do 6935·4 st. wied. czyli 2192·14 m., czego tłumacze Guthego nie spostrzegli, a pominiono dwa szczyty wznoszące się nad 8000 st. w., Kiezmarski (8082 st. czyli 2554·57 m.) i szczyt nad Zielonym stawem (8012 st. czyli 2532·44 m.)

Str. 702, 22 i 23 (Tat. 7, 33—35). Między turniami mniejszemi czyli niższemi od poprzednio wymienionych położono „Buczynową, Wiercichą, Koprową, Pyszną." Buczynowa jest doliną, a raczej kotliną wysoko położoną w zachodnim boku Roztoki; Pyszna jest halą, dla rozległości swojej i dosyć obfitej paszy tak zwaną. Szczyt zaś wznoszący się nad tą halą między dolinami Raczkową i Kamienistą zwie się Wysokim wierchem nad Bystrem, czasem też Bystrem (2116·47 m.). Koprowa wreszcie jest doliną (Tat. 8, 9), a Koprowa wielka szczytem.

Str. 703, 1—4 (Tat. 8, 1—3). „Skalisty las Turni kończy się na zachodzie sterczącą nad doliną Orawską Siwą Skałą i Magurą Orawską, na wschodzie zaś zamyka go rozłożysta Magura spiska." Wspomniana tutaj Siwa Skała (1052·55 m.) i na północ od niej położona Magura (1230·82 m.) leżą w zachodniem pasmie granicznem między Nowotarszczyzną a Orawą, a ściślej rzecz określając, w pasmie ciągnącym się od Wołowca, 2064·89 m. wysokiego narożnika między Nowotarszczyzną, Liptowem a Orawą, między doliną chochołowską a górnemi ramionami orawskich dolin Studzienca i Orawicy od południa ku północy, ku drodze prowadzącej z Chochołowa do Suchejhory. Tym sposobem atoli cały łańcuch gór od Wołowca aż po Chocz lub nawet ponad ujście Orawy do Wagu, a przynajmniej północny tego łańcucha stok, nie należałby więcej do Tatr. Jak to pogodzić z powyżej przytoczonem zdaniem (700, 13, Tat. 6, 3), iż granicę Tatr od zachodu tworzy poprzeczna dolina uchodzącej do Wagu Tepli? Przy takiem granic ustanowieniu stok południowy zachodniego ramienia Tatr sięgałby niemal o cztery mile dalej od stoku północnego. Również nie zgadza się to z tem, co powiedziano w przyp. pod B a 2 na str. 701, jak to powyżej napomknąłem. Sprze-

czności takich przy cokolwiek większej bądź uwadze bądź znajomości rzeczy z łatwością uniknąć można.

Str. 703, 8 (Tat. 8, 8). „Są to w Europie najwyżej położone jeziora alpejskie, zwane przez Podhalan Morskiemi okami. Obfituje w nie szczególnie wschodnia połowa Tatrów po dolinę Zakopanego i Koprowej, gdzie liczą około 60 szyb wodnych rozmaitej wielkości.“ Pominąwszy jako rzecz mniejszej wagi niezupełnie stosowne nazwanie mniejszych i większych zbiorników wód w Tatrach „jeziorami,“ przez Podhalan naszych zawsze tylko „stawami,“ przez Słowaków spiskich i liptowskich „plesami“ zwanych, sprostować należy zdanie, jakoby stawy czyli gdyby już tak chciano, jeziorka tatrzańskie, z których niejedno dzisiaj nie jest już niczem więcej jak mlaką, były najwyżej położonemi jeziorami alpejskiemi w Europie. Przytoczę kilka jeziorek czyli stawów alpejskich położonych wyżej 6000 st. par. (1949 m.) Kuhbodenseeli 1949 m. w kantonie Glarus; Oberalpsee 2004·26 m. w kantonie Uri; staw Luzendro 2023·75 m., z którego bierze początek jedno z ramion rzeki Reuss; rybie jeziorko Weissensteinskie 2029·92 w Gryzonii; Czarny staw (Schwarzsee) 2036·74 w okolicy szczytu Matterhorn; staw Moesola 2138·75 m. na górze Bernhardino; jeziorko Scur 2166·68 w Gryzonii; jeziorko Mattmark 2180·97 m.[1]) na przełęczy Distelbergskiej; Bergseeli 2194·29 m. w kantonie Glarus; jeziorko Dauben na przełęczy Gemmi 2205·98 m.; jeziorka Bernińskie 2230 m.; jeziorko Erstfeldzkie i kilka innych w kantonie Uri 2274 m. i wyżej; jeziorka Julskie 2283·63 m.; jeziorko Rawil 2306·36 w kantonie Wallis; jeziorko Ill pod szczytem Illhorn w kantonie Wallis 2328 m.; jeziorko Toma, dające początek jednemu z ramion przedniego Renu 2351·83 m.; jeziorko czarownic (Bach- oder Hexensee) pod szczytem Faulhorn 2367 m.; stawek w pobliżu domu gościnnego (Hospiz) na Wielkim Bernardzie 2393·42 m.; jeziorko Titter na południe od szczytu Sidehhorn w kantonie Wallis 2420 m.; Windseelein 2429·80 m. pod Altmannem w kantonie Appenzell; Schottensee 2450·92 m., z którego rzeka Szlapina bierze początek, w Gryzonii; Muttensee w hali Limmern (Limmernalp) w kantonie Glarus 2461·96 m.; Geisspfadsee (jeziorko kozich perci) 2474·95 w kantonie Wallis; Hochbachsee 2499·96 m. w kantonie Wallis; Martwy staw (Todtensee) 2503·86 m. na przełęczy Grimsel; jeziorko Jöri 2504·83 w Gryzonii; jeziorko Trützi pod szczytem Geschenenhorn w kantonie Wallis 2589·94 m.; jeziorko Sgrischus nad doliną Fex w Gryzonii do 2598 m.; jeziorko Brodelsee w sąsiedztwie lodowca Griesgietscher w kantonie Wallis 2600 m.; jeziorko Hochseelein na wschód od przełęczy Rawilskiej w kantonie Wallis 2672·78 m.; stawki na górze Col de la Fenêtre w sąsiedztwie Wielkiego Bernharda 2679·92 m.[2]). Również w Alpach austrjackich, mianowicie w Taurach, jest kilka jeziorek alpejskich bardzo wysoko położonych. Między szwajcarskiemi jeziorko zwane Silsersee 1819 m. w dolinie Enu jest $1\frac{1}{2}$ godziny długie, $\frac{3}{4}$ szerokie. Ażeby Podhalanie bądź nasi bądź węgierscy stawy tatrzańskie ogółem zwali Morskiemi Okami, nie mogę potwierdzić; przez Morskie Oko rozumieją nasi Podhalanie wyłącznie Rybie (Polnischer Fischsee). Zdanie to powtórzył Tatomir za Polem i Koristką[1]). W przytoczonym powyżej ustępie z tłumaczenia geografji Guthego i Geografji ogólnej Tatomira pojęcie doliny Zakopiańskiej[2]) wzięto w znaczeniu daleko rozleglejszem od zwykłego, bo w dolinie Zakopiańskiej żadnych nie ma stawów. Razem jest wszystkich stawów tatrzańskich 94[3]).

[1]) J. M. Ziegler, Erläuterungen zur neuen Karte der Schweiz. 4 Aufl. Winterthur, 1866, podaje tylko 2123 m.

[2]) Dr. Friedr. v. Tschudi, Das Thierleben der Alpenwelt. 8. Aufl. Leipzig, 1868. Str. 202–205.

Str. 703, 14 (Tat. 8, 14). Powierzchnia Morskiego Oka czyli Rybiego (stawu) według Fuchsa[4]) jest tutaj mylnie podana; według mapy katastralnej obejmuje ona 57 m. 534⁰ kwadr. wied.

Str. 703, 18 (Tat. 8, 18). „Pięć stawów na wysokości 1624 m. (5000′ par.)“ I to pomyłka, albowiem według pomiarów Zejsznera i Wahlenberga stawy te leżą 6121 st. par. czyli 1988·34 m. nad poziomem morza, aczkolwiek Koristka wzniesienie największego z tych stawów podaje tylko na 5400 st. wied. czyli 1706·84 m.

Str. 703, 20 i 21 (Tat. 8, 20 i 21). „Do najwyżej położonych jezior tatrzańskich należą jedno z pięciu małych jeziorek na zachodnio-południowym stoku Łomnicy na wysokości 2132 m. (Tat. 6568′) i wyższe jezioro Felka pod tak zwanym Polskim Grzbietem, wyniesione 2008 m. (Tat. 6187′).“ Pominąwszy błędne zamienienie stóp (tutaj wiedeńskich) na metry[5]), na co jeszcze zwrócę uwagę, co do stawu welickiego, tutaj pięknie z niemiecka Felka zwanego, i położonej przy nim cyfry wzniesienia nad poziom morza, zachodzi mylka. W dolinie welickiej dwa są stawy, z których pierwszy według Fuchsa 5187′ czyli 1639·51 m., według Koristki 5066′ czyli 1601·26 m., drugi bliżej Polskiego Grzbietu 6099′ czyli 1927·77 m. wzniesiony jest nad poziom morza. Cyfre 6187′ (wied.) 1955·59 m. znaleść można u Koristki przy stawie Smoczym (Drachensee, Szarkanio pleso) z odwołaniem się do Fuchsa, aczkolwiek w Fuchsie cyfry tej nie znajduję. Są atoli w Tatrach jeszcze trzy stawy, według dotąd ogłoszonych pomiarów wyżej położone od stawu Smoczego, to jest Zamarzłe pod Polskim grzbietem od strony północnej 6319′ czyli 1997·32 m. według Fuchsa, Zielony staw pod Krywaniem 6257′ czyli 1977·72 m. według Fuchsa, i staw zwany Trichtersee pod Łomnicą 6219′ czyli 1965·71 m. według Fuchsa.

Str. 703, 27 (Tat, 8, 30). „Niektóre z tych jezior wiecznie są ścięte lodem.“ Potwierdzić tego nie mogę. Na niektórych jeszcze w końcu lipca, a nawet w pierwszej połowie sierpnia widziałem kry, lecz całkiem zamarzniętego w tych miesiącach nie widziałem, wątpię, aby którekolwiek z nich w najchłodniejsze nawet lata wcale nie odtajały. (Dok. n.)

[1]) Pol, Północne stoki Karpat. Str. 16. Koristka, Die hohe Tatra 22a.

[2]) Niektórzy piszący o Tatrach używają postaci Zakopański; atoli mieszkańcy Zakopanego sami Zakopianami się zwą, a nie Zakopanami. Więc też przymiotnik tym samym sposobem urobić należy.

[3]) Nowicki, Kozica. Str. 18.

[4]) Friedr. Fuchs, Die Central-Karpathen. Pest, 1863. Str. 34.

[5]) 6568 st. w. = 2076·01 m., 6187 st. w. = 1955·59 m. Gdyby zaś stopy podane przez Tatomira były paryskiemi, któremi nie są, wówczas byłoby 6568′ = 2133·55 m, a 6187′ = 2009·78 m.

Listy z Krakowa.

(Dokończenie).

Kraków d. 10. marca 1876.

I ktoby się spodziewał, że śmiały redaktor *Przeglądu Polskiego*, stanie się fundatorem „Skrzynki dla nieśmiałych!“ Zapewnie was tytuł tej fundacji nie objaśnia o jej celu, więc muszę ją wam odsłonić, chociaż tym sposobem zgwałcę główny jej przywilej, zastrzegający właśnie jak najściślejszą osłonę. *Przegląd Polski* jest dziennikarskim bankiem, w którym deponowane są główne duchowe kapitały jezuityzmu, i który wszystkim jezuickim wychowańcom udziela nieograniczonego moralnego kredytu. Niewystępujący na okładce, ale rzeczywisty dyrektor tej instytucji prof. Tarnowski, arystokratyczny Cycero Krakowa, słynny z rzucania o ziemię na prelekcjach utworami Pola, z wymyślania Słowackiemu i Wiktorowi Hugo, z niefortunnej wyprawy przeciwko szlacheckiej lichwie (porcjom) i z innych tym podobnych donkiszoterji, po których się jeszcze nie zamknęły uwielbieniem otwarte usta podwawelskiego narodu, ów nieśmiertelny prof. hrabia Tarnowski jest głównym wodzem armji skupionej pod chorągwiami tego „narodowego pisma.“ Nie tyle może pułki hrabiowskie ile dziennikarskie przeciwnego obozu zniechęciły go widocznie do prowadzenia wojny zaczepnej. Ponieważ jednakże ta taktyka tylko rozzuchwalała nieprzyjaciół, wierny sługa pana hrabiego i szczery przyjaciel Don Carlosa uciekł się po radę do praktycznych przepisów Lojoli i wymyślił w formie dodatku do pisma „Skrzynkę dla nieśmiałych,“ w którą mają wrzucać bezimienne listy wszyscy nie mający odwagi jawnie znieważać nauki, bezinteresownej uczciwości, swobody i tym podobnych szkodliwych podwawelskiemu narodowi idei. Twórca tej „Skrzynki“ w swem prozolitycznem uniesieniu zapomniał nawet, że to co jest słuszne, rozumne i godziwe, nie potrzebuje okrywać się zasłoną, i że samo przyznanie się do „nieśmiałości“ charakteryzuje wartość bojaźliwie występujących tendencyj. Jego wynalazek, przełożony na rozumowanie logiczne, daje taki wniosek: ponieważ zasady *Przeglądu Polskiego*, oburzają rozum i sumienie ogółu i krzywdzą swych wyznawców, więc „dla nieśmiałych“ trzeba urządzić osobną „skrzynkę.“ Żadne niejezuickie pismo takiej skrzynki nie ma i nie potrzebuje, bo jego współpracownicy nie czują potrzeby być w swych przekonaniach „nieśmiałymi.“ Dotąd owych nieśmiałych, którzy pomimo zapewnienia dyskrecji jakoś się nie zgłaszają, zastępuje wytrwale przyjaciel Don Carlosa, który na rozmaite polemiczne zadania pisuje do siebie listy. Jest wszakże nadzieja, że profesor hrabia wkrótce spostrzeże głupstwo swego sługi i skasuje niefortunną skrzynkę. Już to widocznie niebo postanowiło nieoszczędzić swemu apostołowi krzyżyków, udaremniając niepowodzeniem wszelkie jego wyprawy. Był p. Skrochowski śmiałym jadąc do karlistowskiego obozu — nie udało mu się, jest teraz nieśmiałym — znowu się nie udaje. Jakimże więc ma być, aby się fortunie i wszystkim świętym podobać? Takim, jakim nigdy nie był i nie będzie...

Kraków jest miastem słabego rozumu, słabego sumienia, ale najsłabszej pamięci. Zakochany w ciemnościach posiada wszystkie instynkta ciemnego tłumu. Dziś może kogoś ukrzyżować, a jutro ucałuje jego stopy. Nie pamięta ani zasług, ani win. Gdyby przyszło podać biografję jego bohaterów, połowę trzeba by zlepiać z nieograniczonych uwielbień i potępień. Naprzód przeniewierzył się ohydnie w sprawie takiej a takiej, potem stanął na czele partji i zyskał powszechny szacunek, następnie zdemaskowano jego obłudę, później widziano w nim najczystszą cnotę itd. na przemiany powtarzają się w każdym życiorysie krakowianina światła i cienie niezłagodzone w zetknięciu się żadnem przejściem. I dla tego też każdy tutejszy wyrzutek nie traci nigdy szans pozyskania entuzjastycznych owacyj. Gdzieindziej potrzeba długich lat na zatarcie publicznego splamienia się, tu dość na chwilę zejść z oczu, a zaraz można się upomnieć o prawo do powszechnego szacunku i zapału. Niedawno właśnie krakowskie serca miały sposobność najlepiej to okazać — wypuszczonemu z pruskiej kozy poznańskiemu arcybiskupowi. To ściągnęło nawet na niego surową naganę ze strony Kraszewskiego i innych prawych publicystów. O całej tej

sprawie Kraków był w swoim czasie daleko lepiej poinformowany niż Warszawa, a jednakże postanowił urządzić panu Ledóchowskiemu entuzjastyczną manifestację. Policja, która nie pierwszy raz uczy tutejszych patrjotów rozwagi, zabroniła wszelkich publicznych zachwytów. I rzeczywiście, jak gdyby przez nią dopiero pouczona ludność, zebrała się na kolejowym dworcu bardzo nielicznie, przyjęła gościa chłodno, a nawet zaczęła sobie jego przeszłość przypominać. Tym sposobem jezuicko - arystokratyczna propaganda w znacznej części spaliła na panewce i dostarczyła tylko śmiałemu dowcipowi sposobności do przycinków i żartów. Ci i owi odzyskawszy odwagę, którą im bojaźń na chwilę osłabiła, zaczęli głośno protestować przeciwko potrzebie manifestacji, a nawet oświadczać się za inną, którąby gościowi wcale do smaku nie przypadła. Głupstwo wszakże jest zaraźliwem. Podczas, gdy klerykały nie zrzekły się owacji, porwani ich podszeptami umiarkowańsi wyrozumowali sobie, że ks. L. jest prymasem, jeżeli więc nie jemu, to jego godności i tytułowi owacja ta się należy. Jeśli Bakon nie nauczył tych sofistów zdrowej argumentacji swoją logiką, to powinienby ich przynajmniej nauczyć swoim losem. Nikt nie zważał na to, że pakowano do kozy — kanclerza i wielkiego uczonego, kiedy ów kanclerz i uczony okazał się szachrajem. Oddzielanie osoby od jej urzędu było właściwem zajęciem dla scholastyków, którzy umieli dowodzić, że można kupić płaszcz nie kupiwszy jego kołnierza, lub sprzeczali się o to, czy wieprza prowadzonego na targ trzyma postronek, czy ręka ludzka. My jednak wychowańcy XIX wieku, sztuki takiego subtylizowania już nie znamy i dla nas ks. Ledóchowski jest Ledóchowskim zarówno w Wersalu jak w Krakowie. Niech jezuicka logika umiejąca przekonywać, że jedna osoba może być trzema odmiennemi, robi użytek z takich sądów, my wybieramy prostszą, według której, Paweł jest Pawłem, czy go ubierzemy w proboszczowską sutannę, czy w prymasowską purpurę. Stronnictwo manifestujące swój entuzjazm dla polskiego faworyta rzymskiej kurji, przekonywa, że nie posiada obywatelskiego taktu, że zatraciło w sobie poczucie różnicy między polityczną uczciwością a przeniewierstwem, że mu brak stałych zasad, ze jego opinja nie zasługuje na żadną uwagę jednostki, bez względu na to, czy jej przyjdzie chęć służyć krajowi, czy mu szkodzić. Pomiędzy nami a ks. L. nie ma nic wspólnego, a jeśli powiemy, że tylko tyle dla nas wart, ile jakiś Dupanloup lub Mannig, postąpimy z nim bardzo wspaniałomyślnie, bo mu darujemy rachunek z przeszłością i postawimy go w równym rzędzie z ludźmi, którzy nam nic złego nie zrobili.

Kcmu się to rozumowanie nie podoba, ten może swe niezadowolenie ukoić pociechą w najświeższych teorjach *Czasu*. Los, jak zwykle, w szczególny sposób z nas zadrwił niespodziankami, których żaden horoskop nie zapowiadał. Gdy w Krakowie proklamujący swe obywatelskie uczucia i powszechnie szanowany *Czas* spotwarzył te uczucia w społeczeństwie, niemieckie pismo *Neue Welt* wystąpiło w naszej obronie, a nawet wezwało swój naród do wynagrodzenia krzywd, jakie nam wyrządził. Przeczytawszy oba te dzienniki, zdaje się, że jakiś złośliwy demon poprzemieniał ich artykuły, i to co powinno się ukazać w *Czasie*, pomieścił w *Neue Welt*. Ironjo przypadku — jesteś czasem dla nas zbyt złośliwa...

Suum cuique... Popełnilibyśmy wielką niesprawiedliwość, gdybyśmy w sądzeniu Galicji zarzutem niepamiętnego na żadne względy sfanatyzowania, nie zastrzegli wielu szlachetnych wyjątków. Ma ona swoich światłych ludzi, ma niepodległe organa. Należy im się tem większa zasługa, że tu trudniej niż gdziekolwiekbądź być wolnomyślnym. W Warszawie niepodobna zmierzyć stopnia odwagi, jaką posiada np. *Dziennik Polski*, ażeby wystąpić przeciwko manifestacjom na cześć poznańskiego gościa. A jednakże wystąpił, nie obwijając zarzutów ogródkami. Naturalnie wystąpienia podobne znajdują odgłos tylko w szczupłej gromadce, bo masa czerpie swe przekonania z *Czasu* i ust ks. Goliana. Co te krakowskie wyrocznie powiedzą — to jedynie ryje się niezatartemi głoskami w pamięci ogółu. Gdyby jednego pięknego poranka przyszła Golianowi myśl zwerbować dla Don Carlosa pułk ochotników pod dowództwem Skrochowskiego, nie opędzonoby się żądaniom zaciągu. Cała nasza historja, piśmiennictwo, nauka, przemysł, handel — spoczywają względem ciemnego tłumu na łasce Golianów i Siemieńskich. Niech jeden z nich powie na ambonie, a drugi w piśmie, że cała Grecja jest mytem, to Grecja przestanie istnieć dla krakowskich wiernych. Naturalnie p. Siemieński tego nie powie, bo musi się trochę liczyć ze swojem literackiem znaczeniem i z nakładcą tłumaczonej przez niego Odyssei, ale odważy się na coś podobnego. A na co się nie odważy pan Powidaj!.... Herostratów tu nie brak....

Jeśli tam we Lwowie macie ludzi chciwych zarobku, a obojętnych na jego rodzaj, przyszlijcie nam tu zdolnych autorów do produkowania pożytecznych publikacyj w gatunku starej „Kołderki pikowanej łaskami ducha świętego.“ Wydawca książeczki jubileuszowej sprzedał 5.000 egzemplarzy — a wydawca dzieł Wundta i Darwina po kilkadziesiąt! Nie należy spuszczać tych cyfr z uwagi, zwłaszcza, że jedna z warszawskich firm księgarskich założyła tu nową fabrykę wydawnictw religijnych. Gdyby nie bezbożne Królestwo Polskie, które podpiera nakłady postępowe, wkrótce z jezuickiego piśmiennictwa urosłaby tak wielka góra, że każdy prawowierny Galicjanin mógłby po niej wleźć do nieba. Przeklęta Warszawa i jej prowincje psują ciągle to rusztowanie wniebowzięcia Galicji. Nie tracimy jednak nadziei, Lojola nigdy nie spi i nigdy nie próżnuje. Prędzej czy później, owa góra się nagromadzi, a gdy wasze Sodomy i Gomory sprowadzą potop, nas wielu zabierze Golian do arki i na tej górze osiądzie. Przykra jednak myśl, że weźmie do niej tylko po parze zwierząt... Bo co się z innemi stanie? Okrutny p. Powidaj ze Skrochowskim nie trapią się tem pytaniem, bo ich z pewnością nie minie zaszczyt spłodzenia poprawnej rasy wierzchowców dla przyszłego Mesjasza, gdy mu przyjdzie uciekać przed Herodem. Ha! trudno! Kiedy nie mamy kwalifikacji na tę godność, trzeba z rezygnacją przyjąć rolę lotowej żony i przed spadnięciem siarczystego deszczu jak najczęściej się oglądać. Woli przecie wasz nieszczęsny korespondent i jego potępieni współwyznawcy zamienić się w słupy soli, niż służyć do pary wybranemu dla arki panu Powidajowi. Może za to, gdy wody opadną, nawet takie wierzchowce ze smakiem lizać nas będą.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Jesienią. Powieść Kraszewskiego. Warszawa. tomów 2. Gebetner i Wolff 1876.

Powieść ta na życiu osnuta, a życie nigdy się nie kończy. Autor zajmuje nas od początku do końca nadzwyczajnem bogactwem drobnych, zachwycających świeżością i prawdą szczegółów, a przedewszystkiem tą poezją jemu właściwą, z jaką zapatrując się na świat realny w najpowszedniejszych życia chwilach umie poetyczną stronę pochwycić, własnem czuciem rozgrzać i w malowniczej plastyce z wdziękiem a prawdą oddać. — Dramat, który się odgrywa w pierwszym tomie między osobami powieści, cały spoczywa w ich piersi i wnętrzu; nic z niego nie wychodzi na zewnątrz, główne postaci opowiadania szkicowane w Rembrandtowskiem półświetle mimo wierności i tryskającego życia owiane jakąś tajemniczą pieśnią, którą sobie słuchacz musi w duszy dośpiewać. — Najwybitniejszemi w powieści niniejszej osobami są: hrabina Wanda, wdówka i Krzysztof szlachcic herbu Pobogów. Są to ofiary nieszczęliwej raczej źle pojętej miłości. Wandy przeszłość zakryta przed oczami czytelnika. — Autor streszcza nam takową krótkiemi słowy: pod wpływem rygorn i ślepego posłuszeństwa rodzicielskiego zgasiła Wanda sama przed sobą przyszłość odmawiając Krzysztofowi ręki. — Krzysztof z sercem również rozdartem, z rozpaczą prawie wraca do domu aby wieść życie wygnańca wśród ruin i w samotności. Natura dała mu uczucia i namiętności gwałtowne, aby je pokonać, musiał z niemi walczyć. Co jednak dla drugich było życiem, owocem, dlań jest popiołem; życia na nowo rozpoczynać nie chciał, wierny zasadzie, iż jako trup między żywych nie wejdzie i świat ten pełen ułudy i błyskotliwej nadziei nie do niego należy. — Miłość jego była jesienną — liście wprawdzie zielone, ale na kwiaty już zapóźno. Podobną jest i miłość Wandy — osamotnione życie, nawyknienie do obcowania samej ze sobą nauczyły biedną kobietę zamykać się w sobie, co Krzysztof oddzielając się gwałtem od ludzi wyrobił w sobie mechanicznie. Droga którą autor charaktery Krzysztofa i Wandy przeprowadza jest drogą rzetelnego wykształcenia. Cierpią oboje, walczą bezowocnie z wysileniem bez zwycięztwa. Hrabina sili się być chłodną i niezmienną dla Krzysztofa — Krzysztof roznamiętniony wraca do dawnego samotnego życia, i mimo zabiegów przychylnych istot, jak Adrjana, kuzynka Wandy, w życiu miłośnem zejść się nie mogą. — Dosia wychowanka Krzysztofa z sercem rozkołysanem wśród lasów szumiących — Adrjan kuzynek Wandy, cioci, młodzieniec szlachetny z krwi i kości uosobnienie inteligencji i dowcipu — Zamorski dziedzic wydziedziczony, kawaler późnej jesieni niewinny jak baranek — Liza zalotnica polująca na męża i Karolina typ staropanieński, to są postaci na drugim planie wszystkie sympatyczne, które służą autorowi do zawiązania i rozsnucia przeprowadzonej myśli przewodniej i stanowią świat sam w sobie zaokrąglony pełen artystycznej konsekwencji. Powieść ta bogata inwencją nie przepłynie niepostrzeżenie śród obecnej powieściowej powodzi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka

— Piszą nam z Krakowa: „Niktby nie dał wiary co u nas działo się w ubiegłym tygodniu. Wiecie, że komisja odsądziła od wspólnego czytania dramat p. Okońskiego pt.: „Ojciec Makary.“ dla jego tendencji postępowej. P. Okoński postanowił odczytać ten utwór publicznie na dochód Towarzystwa wzajemnej pomocy młodzieży akademickiej. Nasz kochany, ultramontański Kraków, nie mógł znieść spokojnie takiej zniewagi. Chociaż prócz p. Łucjana Siemieńskiego dramatu nikt nie czytał, mimo to cała komisja, a za nią stronnictwo ultramontańskie jak jeden mąż krzyknęło, że „Makary“ jest niemoralnym, a pp. Szujski i Tarnowski zagrozili nawet, że wykreślą się z Towarzystwa i odczytów mieć nie będą, jeżeli „Makary“ zostanie odczytanym. Nie koniec na tem. Ks. Golian rzucił klątwę z ambony, *Czas* ostrzegał, aby na odczyt nikt nie szedł, a równocześnie robiono usiłowania w policji, by ona przeszkodziła odczytowi. Mimo tylu intryg odczyt odbył się spokojnie, sala była przepełniona, p. Okońskiego przywitano hucznemi oklaskami, a gdy prelegent skończył, rozeszli się wszyscy głęboko przekonani, że „Ojciec Makary“ nie zawiera w sobie ani jednej myśli niemoralnej. Oto do czego są zdolni nasze Stańczyki!“

— Donosiliśmy już czytelnikom naszym na tem miejscu w poprzednim numerze, iż na 20. bm. zapowiedziane było przedstawienie amatorskie, na rzecz Czytelni akademickiej. Stosownie do programu, w tym samym nr. „Tygodnia“ umieszczonego, odbyło się ono w dniu wspomnianym z powodzeniem — co do aplauzów zgromadzonej w amfiteatrze publiczności. Czy o równem powodzeniu zaświadczy kasa, niewiemy dotychczas, wnosić jednak możemy z wielu miejsc, na dole i wyższych piątrach nieobsadzonych, że komitet urządzający nie wiele czystego zysku wykaże w swem sprawozdaniu. Jakiej okoliczności przypisać trzeba mniejszy, jak spodziewać się należało ze względu na cel przedstawienia, udział publiczności, domyśleć się trudno... Chyba położyć to wypada na karb kapryśności publiczności naszej, która czasem zbyt hojna, gdy idzie o zasilenie kieszeni impressariów zagranicznych, w takim znowu jak ten wypadku zbyt skrupulatnie się liczy i droży z wydatkiem. Z części dramatycznej przedstawienia najwięcej oklasków zbierali amatorowie w znanej komedyjce hr. Fredry (syna) „Consilium facultatis.“ Co do koncertu instrumentalno - wokalnego (pod artystycznem kierownictwem p. Mikulego), podnieść musimy piękną i uczucia pełną grę na fortepjanie panny B. uczennicy p. Mikulego, i ze względu na młodziutki wiek koncertanta, prawdziwe podziwienie wzbudzającą grę na skrzypcach p. K. Z towarzyszeniem fortepjanu (pan Mikuli), odegrał p. K. z precyzją i doskonałem zrozumieniem przedmiotu piękny koncert Beriota. Słyszeliśmy go dwa razy popisującego się przed szerszą publicznością (pierwszy raz z. r. na wieczorku Mickiewiczowskim w sali ratuszowej), i śmiało dziś wyrzec możemy, że jeśli p. K. dalej pracować będzie i kształcić się pilnie w tym kierunku, z czasem wyrośnie nam na znakomitego wirtuoza. Publiczność szczerze ujęta samą grą, jak równie i tak stosowną dla amatora skromnością koncertanta, nagrodziła go

bardzo hucznemi oklaskami. Pan K. A. znany równie z Mickiewiczowskiego wieczorka, wcale przyjemny baryton salonowy — odśpiewał wdzięczną piosnkę Münchheimera „Czarny krzyżyk.“ Piosnka się podobała, publiczność zawrzała głośnemi brawami, i... i prawie skończylibyśmy na tem nasze sprawozdanie krótkie, gdyby nie owi nieszczęsni *turbatores chori*, którzy kilkoma niepotrzebnemi bukietami, na chwilę całej publiczności zabawę popsuli, a panu A. niechybnie największą przykrość niemi sprawili. Znajoma rzecz przecie, że amator, biorący z grzeczności udział w produkcji publicznej, już tą samą gotowością służenia dobru jakiejś sprawy, kompensuje dostatecznie możliwe braki, czy to w grze dramatycznej, lub instrumentalnej czy w śpiewie. Słowem, od amatora wymaga się bardzo mało, i oklaski publiczności, z obowiązku pobłażliwej, aż nadto powinne wynagradzać go za trud podjęty. Ztąd też nie ma zwyczaju, by amatorów obsypywano bukietami. Jeśli jednak mimo to znalazło się kilku gorących przyjaciół p. A. którzy zamierzyli sobie, koniecznie za pomocą kilku bukietów wyrazić publicznie uwielbienie swoje dla jego głosu i artyzmu (?), to przecież należało im, choćby z samej tylko galanterji (pomijamy inne, słuszne względy) zdobyć się jeszcze na parę bukietów i rzucić je p a n i o m równie biorącym, li z grzeczności, udział w koncercie. Wszak p. A. jako akademik, miał nawet obowiązek moralny przyczynić się swą cząstką dla dobra Czytelni akademickiej, grzeczność zaś pań B. i T. — nieinteresowanych przecie *ex officio* o powiększenie funduszów czytelni — *ich* udział już tem samem był bardziej uznania godnym...

— W środę 22 b. m. odbył się w Czytelni akadem. wieczorek instrumentalno-wokalny z współudziałem pp. M. Konopaska kompozytora pianisty i Aleksandrowicza barytona opery tutejszej. Pierwszy zachwycił licznych słuchaczów prześlicznie wykonanemi ustępami z własnych kompozycyj pt. „Sławianki“ drugi po odśpiewaniu arji Eleazara z Żydówki i Neluska z Afrykanki, musiał na ogólne żądanie wyrażone głośnemi brawami, zaśpiewać jeszcze kilka równie pięknych aryj operowych.

— Przedstawiona u nas we wtorek po raz pierwszy operetka J. Straussa „Indigo.“ należy do tego samego rodzaju, co operetki Offenbacha i Lecoqa. Libretto jej jest to zręczna, a w niektórych miejscach zanadto nawet dosadna satyra na absolutyzm monarchiczny idący zawsze w jednej parze z absolutyzmem klerykalnym. Muzyka składa się przeważnie z melodyjnych walców. Tak librecie, jak i muzyce brak myśli przewodniej. Operetkę tę przedstawiono z wielką starannością, a jak na nasze stosunki, rzeczy nawet można — z przepychem. Już to przyznać należy, że na wystawianie operetek obecna dyrekcja nie szczędzi zachodów i kosztów. Przedstawienie wypadło wcale dobrze. Główne role odegrali: pp. Dobrzański, Zboiński i Mikulski.

— Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie ogłosiło już termin tegoroczny otwarcia wystawy malarstwa i rzeźby we Lwowie. Od 1. kwietnia przyjmuje przesyłki obrazów i posągów, a wystawa otwartą będzie dnia 1. maja.

— Wystawa marcowa wiedeńskiego Kustverein'u posiada między innemi piękne portrety królowej Wiktorji i księżniczek Heleny i Ludwiki, pędzla H. Angeli'ego; równie obraz Chrystusa, dzieło Gabr. Marxa. Z wystawionych tam dzieł sztuki cesarz Franciszek Józef zakupił Passini'ego obraz: „Przekupnie kawonów z Chioggia.“

— Nowa dyrekcja pruskich archiwów państwowych przygotowuje wydawnictwo kilku dla ogółu bardzo ciekawych publikacyj. Nasamprzód ma się pojawić wybór sprawozdań pruskiego poselstwa w Paryżu, obejmujących okres czasu od wstąpienia na tron Ludwika XVI aż do wybuchu rewolucji, tj. do chwili zerwania stosunków dyplomatycznych między Francją i Prusami. Następnie wydaną będzie, na podstawie dokumentów archiwalnych, historja katolickiego kościoła w Prusiech w 18tym wieku. Zbiór dokumentów, odnoszących się do zewnętrznej polityki Prus w latach 1813, 14 i 15, jest prawie skończony; równie przygotowano do druku pamiętniki kanclerza Hardenberga, których opracowanie powierzone było Ranke'mu. W końcu tajny radca dr. Sybel, dyrektor archiwów państwa, zaproponował Akademji umiejętności, ażeby wydać w zupełnym zbiorze korespondencje polityczne Fryderyka Wielkiego, z których większa część jest dotychczas zupełnie nieznana.

— Dzieło dr. Schweinfurtha „Podróż po Afryce,“ zostało przetłumaczone na język turecki i pojawiło się w Konstantynopolu w książce o 900 stronicach, z jedną mapą i licznemi drzeworytami.

— Z każdym rokiem wzmaga się we Francji produkcja literacka. I tak od 1go stycznia do ostatniego grudnia r. 1875 wydano we Francji książek broszur, sztychów, muzykaljów itp. razem 21.206 tj. 2.278 więcej, jak w roku poprzedzającym.

Ważny wynalazek.

— Od dawna już pracowały umysły wielu myślicieli nad wynalezieniem mowy piśmienniczej, któraby była zrozumiałą dla wszystkich narodów cywilizowanych, niejako wspólną wszystkim ludom. Próbki tego rodzaju pojawiały się od czasu do czasu, zawsze jednak brakło wykonalności w praktyce, brakło tej łatwości zrozumienia i przejrzystości, niezbędnej przedewszystkiem dla takiej mowy uniwersalnej. Tak pozostał jeno w teorji angielski wynalazek pisma cyfrowego, równego losu doczekał się pomysł prof. A. Renzi w Paryżu, t. z. *Polyglotte improvisé*, o innych zaś usiłowaniach w tym duchu nawet wieść zaginęła, zanotowana dla potomności chyba tylko w dobrych, obszernych encyklopedjach. W ostatnich czasach znowu wydobyto na jaw tę kwestję o prawdziwie wielkiej doniosłości dla cywilizowanego świata. Pan Damm, dr. filozofji w Sztokholmie, pracował kilkadziesiąt lat nad swoim pomysłem, dotyczącym stworzenia takiego pisma uniwersalnego i osiągnął rezultaty, które zdają sobie wróżyć powodzenie i utrwalenie. Myślą przewodnią tego pomysłu, jest zamiar, o którym wspomnieliśmy pobieżnie na samym początku, tj. by z pomocą wspólnej wszystkim cywilizowanym narodom mowy piśmienniczej, zbliżyć je bardziej do siebie, rozprzestrzeniać nią szybko owoce prac umysłowych, niejako z pominięciem kwestji lingwistycznej, założyć nowe, u wszystkich jednakowe tory, któremi rozlewaćby się mogła, równocześnie na wszystkie strony, wiedza w swoich objawach. Przy tem, miał p. Damm na względzie, ażeby wyuczenie się jego systemu nie pociągało zbyt wiele trudów, nie wymagało wiele czasu i pracy. „Słowo jest pojęciem — a pojęcia pojedyncze są wszędzie sobie równe.“ Oto podstawa idei p. Damma. Dla trudności pomieszczenia w piśmie naszem ryciny, wyobrażającej tablicę znaków ułożonych przez twórcę, nie możemy jej podać czytelnikom, będziemy się jednak starali wytłumaczyć to słowami. System Damma składa się ze stu pojedynczych znaków. Są to kółka, krzyżyki, haczyki, linijki proste i krzywe, powtarzające się po kilka razy z małemi odmianami. Otóż na podstawie tych stu znaków, byłaby wypracowaną dla każdej mowy t. z. „książka szyfrowa.“ Książka ta miałaby 500 stronic, na każdej stronicy powtarzają się owe sto znaków, lecz na każdej znak pojedynczy ma inne znaczenie. Weźmy np. kółko. Jeśli na str. 220 ono oznaczałoby Gazetę, to na stronie 219 — 221 i t. d. to samo kółko oznaczać będzie zupełnie co innego. Obok tego, dla każdej mowy niezbędnym byłby specjalny słownik, ułożony w alfabetycznym porządku, a odsyłający wstawioną obok słów liczbą stronicy, każde pojęcie do wspomnianej książki szyfrowej. Np. oznacza kółko na str. 220 w ks. szyfr. Gazetę, to w takim słowniku obok pojęcia Gazeta będzie szyfra 220 i kółko. W ten sposób każdy naród potrzebowałby posiadać ułożone te dwa dzieła t. j. książkę szyfrową i słownik, by skutkiem równości pojęć a zastosowanych do nich znaków mógł odszyfrowywać obce prace, swoich zaś udzielać im wzajemnie tą drogą. Słowa byłyby kładzione w ten sposób: rzeczowniki w pierwszej osobie liczby pojedynczej, przymiotniki i przysłówka w pierwszym stopniu, czasowniki w trybie bezokolicznym. Przypadkowanie musi być zawsze dokładnie oznaczone. Dla odmian i form ma system rozmaite znaczki (punkta, wykrzykniki, pauzy, krzyżyki małe w formie plusów matematycznych etc.), stawiane zawsze przed, nad, pod, lub za szyfrą, stosownie do potrzeby i reguły systemu. Liczby jako liczby, dla odróżnienia od szyfr pisane będą pomiędzy dwiema linijkami (z góry i dołu n. p. $\overline{\underline{25}}$) Nazwiska nie wymienione w słowniku, mają być składane z szyfr oznaczających pojedyncze litery alfabetu łacińskiego, a ujęte dla odróżnienia w klamry. Zdaniem naszem system ten przyjmie się łatwo w świecie kupieckim a w części i w dziennikarskim. Ale w dziedzinie nauki, gdzie prawie każdy język ma swoje subtelności wyłączne a nieodzowne, taka niwelacja pojęć zastosować się nie da. Zresztą przyszłość okaże sama, jak dalece wynalazek p. Damma znajdzie przyjęcia w świecie, w takim zaś razie znajdą się znowu tacy, który go ulepszą, wydoskonalą i przysporzą kosmopolityzmowi zdobycz niemałą.

Podróże i odkrycia.

— Rada Związkowa w Berlinie, na posiedzeniu 6go marca br. odrzuciła projekt Związku Bremeńskiego, dotyczący podjęcia dalszych badań pod północnym biegunem. Odnośne wyprawowania komisji uczonych nie były nawet roztrząsane, gdyż rządy pojedynczych państw zgodziły się w tej mierze, że przy teraźniejszym stanie ogólnych finansów, niepodobna zapuszczać się w tak daleko idące przedsięwzięcia.

— Najnowsze „Wiadomości ces. rossyjskiego Towarzystwa geograficznego,“ zawierają ciekawy list rossyjskiego podróżnika Maklaja z Kotta Baru, Klantan, na półwyspie Malakka, z datą 15. sierpnia 1875. Wspomniany podróżnik, dotarłszy do górnego łożyska rzeki Tamylen (wpływającej do Pachan'u), po trzydniowej, bezowocnej wyprawie w lasy Tekan, przebył niewysoki grzbiet gór i dostał się do górnej części rzeki Lebe (wpływającej do Klantan'u), gdzie wszystkie trudy i mozoły podróży opłaciły mu się naraz cennem odkryciem. Mianowicie napotkał tam pokolenie Papua czystej krwi, które wiodą życie koczownicze, przebywa ustawicznie w lasach u źródeł rzek: Pachan, Pringano i Klantan. Góry środkowe półwyspu malajskiego nie były dotychczas zwidzone przez białych, pomimo iż Europejczycy od niepamiętnych lat osiedleni są w Malakka. W skutku tego podróżnik spotykał wszędzie wśród ludności malajskiej zdziwienie niezmierne połączone z przestrachem, na widok osoby jego i towarzyszy białych. Ze strony zaś malajskich Radschas'ów, niedwuznaczną nieufność i wielką powściągliwość w rozmowie.

— W Rzymie ostatniemi czasy przy sposobności przekopów mających na celu połączenie Forum z placem świątyni Antonina i Faustyna, porobiono nader ciekawe odkrycia archeologiczne. Między innemi znaleziono cenny fragment sławnego konsularskiego kalendarza państwowego, z którego jedna połowa znajduje się już na Kapitolu. Wydobyta część jest jedną stronicą z wspomnianego kalendarza i zawiera spisane nazwiska wszystkich konsulów, którzy po sobie następowali w sześcioletnim okresie (od roku 755—766 miasta Rzymu), a nabytek ten ma tem większą wartość, ile że uzupełnia dawny fragment, przechowany na Kapitolu, a posiadający spis konsulów od 761 r. rz. Nazwiska wyryte są na twardym kamieniu, który prawdopodobnie umieszczonym być musiał na jakimś gmachu. Ta hipoteza sprawdza poniekąd orzeczenie archeologów, którzy twierdzą kategorycznie, iż kalendarze państwowe nie były ryte na osobnych płytach, ale na marmurowych bryłach używanych potem do budowli świątyń.

— Trzęsienie ziemi, które zniszczyło peruańskie miasto Abancay stolicę departamentu Apurimac, miało miejsce 4go stycznia b. r. Od $^1/_2$8 god. wieczorem aż do 6 god. następnego poranka nastąpiło 30 wstrząśnień; najgwałtowniejsze, o $^1/_2$10 wieczór, same zburzyło większą część budowli.

Gospodarstwo.

— Druga międzynarodowa wystawa drobiu i ptactwa we Wiedniu, którą urządza tamtejsze towarzystwo dla chowu drobiu, odbędzie się w Praterze od 29go kwietnia do 6go maja br. Na wystawę będą przyjmowane: 1) kury, gołębie, kaczki, gęsi itp. 2) zabity drób tuczony, 3) ptaki śpiewające i pięknopióre, 4) klatki, kojce, itp. przyrządy do chowu, 5) fachowe rozprawy dotyczące tego przedmiotu, dzieła ornitologicznej treści, preparata, wypchane okazy rzadkich ptaków itd.

Wojskowość.

— Wojenno-historyczny oddział generalnego sztabu austrjackiego zamierza publikować ciąg dalszy „Historji wojny we Włoszech r. 1859.“ Mianowicie przedstawić ma dokładnie przebieg bitwy pod Solferino i ten perjod kampanji, gdy cesarz sam objął naczelne dowództwo armji, aż do spotkania monarchów koło Villafranca.

ROZMAITOŚCI.

W numerze 8 czasopisma niemieckiego „Gartenlaube“ za rok bieżący, podaje Dr. Julius Lidmann następujące uwagi: „Moda jest władczynią nieograniczoną, wymagającą prawie bezwarunkowego poddania się, a srogie jej panowanie przejawia się wyłącznie w kapryśnych przemianach: barw, wzorów, form i materyj. Za rozkazem mody, przybierają na siebie damy różne fasony, nieledwie że niemożliwe, co więcej, moda jakby za dotknięciem różczki czarnoksięzkiej, wywołuje nowe części ciała tam, gdzie poprzednio była naturalna próżnia. Mężczyźni znoszą narzucone sobie „fatum“ z niemą rezygnacją, a to z przyczyny dającej się łatwo wyjaśnić: co do tej kwestji są oni bezsilni. O ile tedy moda tyczy się materjałów szkodliwych, o tyle pozostaniemy jej posłuszni i nie będziemy się buntować przeciw jej surowym nakazom, — inna rzecz jednak wtedy gdy się stara uwieść nasze damy zapomocą trucizny, — tu już nie możemy pozostać w milczeniu. Jakież to zdumienie ogarnęło cały świat męzki, a zwłaszcza ludzi fachowych, gdy moda pozwoliła sobie zalecać użycie „barwy zielonej“ (Schweinfurtergrün) do sukien balowych i kazała młodym panienkom tańczyć w tych tarlatanach na wskróś przesiąkłych trucizną. Powstała przeciw temu silna opozycja, a barwa zielona była prześladowaną nawet w obiciach pokojowych i ombrelkach na lampy. Dzięki energji rozwiniętej ze wszech stron, ograniczało się coraz bardziej użycie tej barwy arszenikowej, a liczne artykuły zamieszczone w prasie codziennej i pismach fachowych przyniosły ten pożytek, że dziś już każdy przy kupowaniu przedmiotów zabarwionych na zielono, ma się na ostrożności. Jednakże moda pełna pomysłów wynalazczych, potrafiła arszenikowi, tej strasznej a prześladowanej truciznie, dać za towarzyszkę inną barwę, kryjącą ową truciznę pod bardzo powabnym odcieniem fioletu. W ostatnich latach zastosowały niektóre firmy, mianowicie alzackie i angielskie, mięszaninę z glinki napojonej kwasem octowym i połączenia gliceryny z arszenikiem jako środek ustalenia barwy w materjach bawełnianych, a to dla oszczędzenia nierównie droższego białka i postawienia wobec konkurencji materjału jak można najtańszego. Powstałe przy powyższej mięszaninie, połączenie glinki z kwasem arszenikowym czepia się włókien materji, a niektóre bawełniane materje, wedle analizy dokonanej przez prof. Gintla, zawierają piętnaście do dwudziestu pięciu granów arszeniku w połączeniu z glinką na przestrzeni jednego łokcia kwadratowego. Ma to zaś miejsce, szczególniej w materjach bawełnianych i batystach przepysznej barwy nowofioletowej, obrzuconych białemi punktami, kółkami, gwiazdkami albo kwiatami, zdarza się to również w materjach, na których rzucik jest barwy brunatno-żółtej lub czerwono-brunatnej. Próbki, jakie miał w ręku profesor Gintl, wydawały z siebie już przy samem włożeniu w wodę znaczną ilość arszeniku. Materja ta widocznie nie była po nałożeniu rzuciku, przemywaną i opłukaną ale zaraz appreturowaną. Aby nie podnieść cen tak tanego materjału, zaniedbują fabrykanci wyciągać go, prócz tego zaś przy myciu materji miałoby miejsce częściowe ustąpienie barwy, co także jest przeciwnem ich interesowi. Wyżej wskazany chemik ostrzega, ażeby nie nosić sukien tego rodzaju, albowiem mogą być łatwo przyczyną jeśli nie ostrego to przynajmniej chronicznego zatrucia arszenikiem. Przeszłego lata zdarzył się w Holsztynie przypadek takiego zatrucia, który tutaj przytaczam: Pewna dama mieszkająca w jednym z mniejszych miast holsztyńskich cierpiała dawniej na chroniczny ból żołądka; stan jej jednak w ostatnich czasach znacznie się polepszył; dostała zdrowszej cery i widocznie utyła. W ciągu zeszłego lata, straciła powoli apetyt, twarz jej przybrała barwę ziemi, a pacjentka uskarżała się na bóle w rodzaju kolek, tak że lekarz mający ją w kuracji, przypuszczał z początku, że dawniejsze jej bole żołądkowe wróciły na nowo. Chora jednakże jak najsilniej sprzeciwiała się temu poglądowi, że siedlisko bolów znajduje się głębiej i że one są zupełnie innej natury, aniżeli kurcze żołądka doznawane poprzednio. Przypadkiem wpada lekarzowi artykulik gazeciarski, przestrzegający od kupowania pewnych materyj bawełnianych barwy nowofioletowej, ponieważ one zawierają w sobie arszenik. I istotnie w sukni, jaką dama nosiła w ciągu lata, znajdaje znaczną ilość arszeniku. W tym tedy przypadku musiał lekarz, opierając się na danych symptomatach choroby, przyjąć takową, jako zatrucie arszenikiem. Przypadek powyższy jest w każdym razie dość wielkiej wagi, aby mógł służyć za przestrogę dla publiczności. Suknia ta była zakupioną u jednej ze znaczniejszych i znanych firm hamburskich, a sprzedający ani się domyślał istnienia trucizny w sprzedawanym przez siebie towarze. Ja sam kazałem wziąć dla siebie w tym samym składzie pięć próbek, aby módz się przekonać o substancji arszenikowej zawartej w powyżej wspomnianej materji barwy nowofioletowej i w trzech z nich, mianowicie w najtańszych, znalazłem arszenik. Nie mogłem wprawdzie za użyciem tylko czystej wody wydobyć z nich żadnej trucizny, ale osiągnąłem to z pomocą wody alkoholicznej albo kwasów rozcieńczonych. Zdaje się więc że przy fabrykacji tych materyj, zastosowano więcej środków ostrożności, aniżeli przy materjach badanych przez prof. Gintla. Materje te pochodzą, jak mi to mówiono z jednej z fabryk wielkiego ks. Badeńskiego; a zatem ta zgubna metoda fabrykacji rozszerza się już z Alzacji i na inne kraje niemieckie. Postępowanie fabrykantów, ulegających pokusie zastosowania niebezpiecznych trucizn w celu ustalenia barwy w materji, gdy tenże sam skutek dałby się osiągnąć za pomocą ciał chemicznych zupełnie nieszkodliwych, zasługuje na publiczną naganę; podstawą bowiem tego jest tylko wyrachowanie, leżące w zastosowaniu jak najtańszej substancji, aby tym sposobem wyprodukować towar o ile możności przystępny, opierający się zwycięzko wszelkiej konkurencji i napełniający złotem kieszenie fabrykantów? My jednak znamy inny jeszcze interes, który uważamy za święty i stawiamy wyżej nad robienie grosza, a tym jest: — troska o zdrowie naszych bliźnich.

— Znakomity malarz włoski Salvator Rosa (ur. 1615 zm. 1673), był, jak wiadomo, poetą i muzykiem zarazem. Jego malowidła odróżniają się jakąś dziką fantazją pomysłów, które widza grozą przejmują, i to zapewne dało powód do krążącej o nim wieści, że genjalny artysta za młodu był spólnikiem bandy rozbójniczej. Pewnego dnia siedział on w swojem atelier i grał na bardzo lichym fortepjanie, gdy w tem przyszedł do niego jeden z przyjaciół, i po krótkiej chwili przysłuchiwania się jego grze, zawołał, iż nie pojmuje, jak można grać na tak nędznym klawicymbale, który zdaniem jego, nie wart był i trzech skudów. „A ja ci powiadam — odparł malarz — że jeśli zechcę, sprzedam ten drogi mi instrument za 1000 dukatów!“ Przyjaciel roześmiał się głośno. Na to artysta pochwycił pędzel i farby, i ze zwykłą mu szybkością wymalował na pokrywie fortepianu wspaniały pejzaż, za który potem rzeczywiście otrzymał od pewnego amatora, sumę 1000 dukatów, przyczem oczywiście i wyszydzony przez przyjaciela klawicymbał, stał się własnością nabywcy.

— Półwysep Apscheron, na morzu Kaspijskiem, bogaty w rozmaite dziwy przyrody, posiada między innemi także góry rosnące, osobliwe swojego rodzaju zjawisko. Pomiędzy miejscowościami Baku i Nawagi, wzdłuż szosy, na przestrzeni dwu mil, wznoszą się te ciekawe góry, o rozmaitej, choć nieznacznej wysokości, uderzające zdala swą barwą popielatą, i niepokryte nawet najdrobniejszą roślinnością. Wszystkie mają kształty stożka; ziemia ich jest niczem innem, jeno gliną, pomięszaną ze solą, każda zaś ma na szczycie źródło wody błotnistej a solnej, która wytryska obficie i rozlewa się w koło zbiegając ustawicznie na dół. Otóż te błotniste przymieszki wody osadzają się w koło otworu, wysychają, i w ten sposób podwyższają górę. Narost taki można sprawdzić każdego roku. Gdzie źródło się zamuli do tego stopnia, że woda wytryskać przestaje, w tem miejscu oczywiście wzrost taki skończony. Za to w pobliżu przebijają się nowe źródła i pracują dalej nad podwyższeniem wierzchołka góry.

— W muzeum artystycznem Wolfenbütlejskiej biblioteki przechowują kilka nader ciekawych okazów kaligraficznej sztuki. Między innemi, np. portret założyciela bibljoteki, księcia Augusta, który umarł w r. 1666. Obraz przedstawia księcia na koniu, wspinającym się na tylnych nogach i wyrzucającym przednie wysoko w powietrze. Otóż ten portret wcale nie jest rysowany, ale „pisany.“ Wszystkie kontury i cieniowania składają się nie z linij, ale z wierszy, wypisanych z psalmów rozmaitych; odczytać je można jedynie za pomocą lupy. Dalej znajduje się tam wizerunek orła trzymającego pejzaż w swych szponach. Po bliższem przypatrzeniu się oglądający widzi, że całość składa się z samych przypowieści łacińskich, wypisanych nader ozdobnie i starannie. Równie pokazują tam słonia, wyrysowanego greckiemi przypowieściami, w końcu portrety: Lutra i elektora saskiego Fryderyka, z tekstu biblijnego. Nazwisko tego pracowitego i oryginalnego sztukmistrza kaligrafji, pozostało tajemnicą. Możemy śmiało twierdzić, że to był Niemiec lub Włoch, bo tylko Niemcy i Włosi zdolni do takiej bezmyślnej pedanterji.

— Gdy Hiszpanie przyszli do Peru, sztuka pisania za pomocą której najeźdźcy mogli posyłać i odbierać z daleka wiadomości, wzbudziła wielkie zdumienie u inteligentnych krajowców. Nie mniej jednak od nich zdziwieni byli wojownicy Pizarra na widok ciekawej sztuki t. z. Quipu, która Peruańczykom wygodzie zastępowała pismo europejskie. Jakkolwiek państwo Jnkasów stało już na zdumiewająco wysokim szczeblu organizacji wewnętrznej, mimo to ten naród posiadający masę doskonałych agronomów, architektów, rzeźbiarzy i rzemieślników tak we wszystkiem bogato od przyrody uposażony, nie doprowadził był do ułożenia sobie alfabetu, a nawet nie posiadał prostego pisma obrazowego. Natomiast przyszli oni na szczególny wynalazek, za pomocą którego prowadzili swoje rachunki i korespondencje, a mianowicie robili to za pomocą różnokolorowych nitek, nazywanych w ich narzeczu: „Quipu.“ Prescott tak opisuje ten wymysł ciekawy: Quipu był sznurem dwie stopy długim, twardo uplecionym z różnokolorowych nitek, a kończył się rodzajem frężlów tej samej barwy. Każda z nitek tej frężli była na węzeł zawiązaną. Quipu znaczy węzeł. Kolory oznaczały różne przedmioty: biały n. p. srebro, żółty — złoto. W potrzebie wyrażały one pojęcia ogólne; np. biały — pokój; czerwony — wojnę. Przedewszystkiem używano jednak Quipusów do rachowania. Węzły służyły zamiast cyfer, a umiano je zawiązywać w sposób rozmaity, odpowiednio do wartości cyfry. Z zdumiewającą szybkością wygotowywali swoje obliczenia za pomocą tych węzełków. W każdym okręgu byli naznaczeni urzędnicy, t. z. Quipucamayos czyli przechowywacze tajnych węzełków, którzy obowiązani byli zdawać rządowi sprawę z każdego ważniejszego zdarzenia. Jedni nadzorowali przychody i donosili, ile surowego materjału rozdzielano pomiędzy robotników, a potem ile przerobionych na gotowe produkta składano do magazynów. Inni prowadzili dokładne wykazy urodzin, małżeństw i śmiertelności, takie liczby zdolnych do noszenia broni, słowem całą statystykę ludności wielkiego państwa. Widzimy z tego, że podczas gdy w cywilizowanej Europie współcześni ani wyobrażenia nie mieli o takiem administrowaniu państwa, w Peru dawno już posiadano biura statystyczne, urzędujące z całą skrupulatnością nowoczesnego biurokraty. Regularnie co roku odsyłano takie sprawozdania okręgowych urzędników do stolicy, gdzie przedłożone wyższym urzędnikom stanu, były przez nich kontrolowane. Miljony tych różnokolorowych węzełków układane systematycznie i przechowywane starannie tworzyły rodzaj archiwu państwowego.

Od Redakcji.

Do numeru dzisiejszego dołączamy odezwę, o której uważne odczytanie uprzejmie prosimy. Zwracamy także uwagę, że numer dzisiejszy jest ostatnim w bieżącym kwartale.

Treść Nr. 13.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).